

Jan Bułhak

Moja Ziemia.

MOJA ZIEMIA

„Moja Ziemia" wychodzi w ubogiej szacie niniejszej tymczasowo, z powodu trudności, jakie przeżywa grafika w obecnej dobie wojennej.

Wydanie właściwe, które ukaże się przy pierwszej możności w postaci albumów in quarto, będzie ilustrowane obrazkami fotograficznemi autora, często równoległemi do treści, a zawsze związanemi z nią wyrazem i nastrojem. W ten sposób słowo i kształt plastyczny będą usiłowały odtworzyć jedną nierozdzielną całość, której na imię — Ziemia.

JAN BUŁHAK

MOJA ZIEMIA

WILNO
W ROKU WYZWOLENIA 1919
NAKŁADEM I DRUKIEM L. CHOMIŃSKIEGO

3

ODBITO W TŁOCZNI „LUX", WILNO, GUBERNATORSKA 1.

WSTĘP

Minęło wszystko — sny o wiośnie,
wzloty przepastne duszy młodej,
kwitnące marzeń mych ogrody
i wieńce róż i ostre ciernie...
Wszystko mi życie niosło wiernie,
i wszystko wzięło bezlitośnie...

Nieznane jutro wieje trwogą,
a dzień dzisiejszy — zimny, nudny;
serce wstępuje w kraj bezludny,
gdzie nie wie, czy ma — kochać kogo...

I znów, jak niegdyś — północ chmurną
w oślepłe okna patrzy twarzą
i swe odwieczne gra nokturno;
jakieś się głosy ciche marzą
i skargą w trwożnej drżą rozterce
o jedno — chociaż jedno — serce;
jak niegdyś — wicher wyje dziko,
złowieszczym jękiem drżą kominy
i zegar cichą swą muzyką
samotne znaczy me godziny...

. . . .

Ja wiem — nad światem huczy burza,
pioruny żłobią nowe drogi,
a z morza krwi i z łun pożogi
wolności słońce się wynurza.
Ja wiem — w tej krwawej jutra zorzy,
którą przez krzyżów las cmentarny
kreśli ogniście palec boży,
— jam tylko iskra, popiół marny.
I to wiem, że w tę zorzę jasną
z innymi tęskne wznosząc oczy,
ja pójdę, mimo trud i znoje,
aż jutrzni blask mię nie otoczy,
lub aż me oczy nie zagasną.

Ale, na dzisiaj — czym ukoję
samotność, co mi zżera duszę?
czym w tej pustynnej bezotusze
nakarmię głodne serce moje?
Czym, oprócz jednej cudnej myśli
o tej przeszłości przeminionej,
na której ręka czasu kreśli
napis okrutny: raj stracony?
O wy, wspomnienia, nierozwiane
ni lat przepaścią, ni mogiłą,
ja dzisiaj z wami pozostanę,
z tą biedną, a tak sercu miłą
powieścią dawną, z tem, co — było...

. . . .

I.

U domowych progów

Mówić chcę o mojej ziemi,
o jej krasie jasnolicej,
o jej smętku i tęsknicy,
chcę cieszyć się, pieścić niemi...

Marzyć chcę o mojej ziemi,
o dziecinnych moich latach,
o najrańszych wiosen kwiatach,
chcę pieścić się, żegnać z niemi...

Dnie bez jutra, dnie bez słońca
jak kajdany wślad się wleką
bez nadziei i bez końca...
Więc leć myśli, tam, daleko,
gdzie brzeziny szumnie grają
po falistych wzgórz roztoczy,
gdzie zachwytem pują oczy
uśmiechnionych łąk bezbrzeża;
gdzie w sinawej dali wstają
nad wieczorem mgły rozwiewne,
a w nich jakieś echa płyną,
szmery jakieś modlitewne...

Niechaj znowu na dnie duszy
wspomnień dawnych dzwon uderza,

i tę znaną strunę trąca,
tę odwieczną, tę jedyną...
Niech z za zmierzchów niepamięci
z po za pustki, nudy, głuszy,
niby fala wracająca,
wstaną mary dawnych ludzi,
pogrzebany świat się zbudzi,
i, z szarzyzną dnia w rozterce
niechaj zjawą cudną nęci
i niewoli serce...

. . . .

Moja ziemia — to garść piasku
szara, łąk i pól zieloność,
to — złotego morze blasku
i błękitów nieskończoność.
To w dalekich widnokręgach
zatracone wiosek sznury,
majaczące chat kontury
w sinych lasów wstęgach;
to brunatno-złote strzechy
bursztynowym mchem brodate,
to wieńczące każdą chatę
kolorowe malw uśmiechy,
takie hoże i rumiane,
by dziewoje roześmiane,
co swych wdzięków pyszne stroje
na domową kładą ścianę...

To wiśniowych sadów cisze
rozpylone w śnieżne chmury,
to ich wierne towarzysze
— pszczół pracowne chóry;
to przydrożne białe kwiatki
co wzdłuż krętych ścieżek biegą,
to — głos domu rodzinnego,
i wspomnienie matki.

Moja ziemia — to zaścianki
pod stuletnią lipą śniące
cichej, szczęsnej sen prostoty;
to bocianich gniazd klekoty
w roziskrzone ranki,
i wieczorne rozhowory
ptactwa po wilgotnej łące,
kiedy miesiąc wstaje złoty.

To szlacheckie białe dwory
i kwitnących bzów altanki,
i na słupach wsparty ganek
z Opatrzności okiem w szczycie,
za oknami biel firanek,
a przy drodze rząd topoli
i zagony czarnej roli,
i bławatki w życie...

To figury nad rozstajem,
opasane białą chustą

i męczeńskich glorją ćwieków
zdobne dawnym obyczajem;
owe krzyże, co od wieków
po ojcowsku błogosławią
naszym wioskom...
Dzisiaj pusto
u ich stóp — dziś już nie prawią
one starodawnych baśni
tak, jak niegdyś, wieczorami
dziatwie, klękającej w ciszy...
Dziś w zamęcie krwawych waśni
nikt ich głosu nie usłyszy;
dziś bezsilnie ramionami
obwisają złamanemi,
próchnem do darniowej pleśni
na mogilny sen się kładą,
i ostatnie przed zagładą
pożegnania smętne pieśni
nucą zcicha matce — ziemi...

. . . .

. . . .

Czy powstaniesz ty kiedyś nanowo
o wioskowy mój krzyżu drewniany?
Czy wybłyśniesz nad mogił kurhany
i przebaczeń wyrzekniesz znów słowo?..
Czy podźwigniesz zwęglone te ściany,
co zapadły się w ciemnię grobową,

i z pod ziemi wołają i płaczą
kamiennego milczenia rozpaczą?

Kiedyż znów od bezludnych rozdroży
ty powrócisz w domowe zagrody,
zwołujący do ciszy i zgody,
jak ojcowy, daleki głos boży?
Kiedyż znów wśród wieczornej ochłody
u twych stóp znojne czoła ukorzy
oracz stary, żniwiarzy gromadka,
grono dzieci i ojciec, i matka?..

Kiedyż wróci do życia kraina,
gdzieś ty, krzyżu, i druhem i bratem,
gdzie wsi każdej trawiasta drożyna
pod twym znakiem prowadzi skrzydlatym;
gdzie się wszystko od ciebie poczyna,
i, znaczone cierpienia stygmatem,
w twoich godeł męczeńskich ozdobie
ukojeniem się kończy — przy tobie...

Czy ty stoisz tam jeszcze wśród gajów,
prowadzących w wioskowe zacisze,
stróżem wiernym krzyżowych rozstajów?..
Ja z oddali jęk trwożny brzóz słyszę,
ja stąd czuję, jak wichr je kołysze,
kryjąc w dymach i ciebie i kraj ów
spustoszony, w mgłę krwawą spowity,
łuną w martwe ziejący błękity...

Już nie smukła domowa topola
patrzy na was dziś, krzyże ofiarne,
ale śmiercią krwawiące się pola,
ale dymy i zgliszcza pożarne;
patrzy na was — bezdomna niedola
i te łany, co poszły na marne,
i porosły nie żytem szumiącem,
ale mogił daremnych tysiącem...

. . . .

. . . .

Oto gaśnie zorza śniada,
błękit srebrem gwiazd się plami,
nad krzyżami, nad polami,
ponad ziemią noc zapada
i, milcząca, zamyślona
patrzy z góry... Z nieba szczytu
mroków spuszcza się opona
i osłania wszystkie ślady
życia, wszystkie jego nędze,
aż się nie rozpłynie w przędzę
mgieł porannych, w uśmiech blady
wchodzącego świtu...

Ziemia słodko śni... oddycha...
szmery wiatru, ptactwa głosy
milkną zwolna... krople rosy
z kwiatów perlą się kielicha...

Po za rzeką cichnie echo
psów szczekania — gdzieś, pod strzechą
świeci okno — wśród pastwiska
końskie cienie, niby duchy
błądzą — zabrzmi tentent głuchy
i znów cicho . . . Dym ogniska
gasnącego idzie w górę;
przy nim grzeją się pastuchy
okutani w kurty bure,
siedzą kołem, a na twarzy
ogień mrąco im pobłyska,
urywane milkną słowa . . .
Szybko mija noc majowa,
ranek blizko — wiatr już chłodnie
i w szuwarach głośniej gwarzy . . .
Zatopione w mgły bezdroża
łąki ścielą się bez końca
hen, ku rzece — blądą smugą
srebra w niej prześwieca zorza
świtająca, i niedługo
już rozpali swą pochodnię
wschód czerwony, zwiastun słońca . . .

. . . .

. . . .

Nocy! trwaj jeszcze! Twoje błękity
duszę znużoną tak słodko pieszczą,
a dzień, już blizki, niesie złowieszczo
troski i zgrzyty . . .

Twa dłoń nad senną spuszcza się głową
błogosławiąca, dobra i miękka,
a tam — ze słońcem — wróci nanowo
życia udręka . . .
Twojemi czary polne stokrocie
świecą, jak gwiazdy mistyczną bielą,
i do gwiazd twarzą jasną się ścielą
w lubej tęsknocie . . .
Twoich powiewów fale kojące
niosą oddechy uśpionych kwiatów
i płyną w bezmiar gwiazdzistych światów
westchnień tysiące . . .
I ziemia cała, rozbłękitniona
twej srebrnej szaty całuje kraj . . .
O nocy! weź ją w twoje ramiona
i usnąć daj! . .

. . . .

Księżyc w zbladłą dal się chowa,
szybko mija noc majowa,
i niebawem, z mgły firanek,
kłam zadając nocnej złudzie,
wstaje zimny, jasny ranek,
wstają ludzie;
i ze zgrzytem i hałasem
dzień otwiera im swe bramy . . .

Z ludźmi jeszcze się spotkamy
nieraz, może nazbyt blizko,

nazbyt często . . . Więc tymczasem
zamiast bliźnich, których raczej
nazwać mógłbym dalekiemi,
gwarzyć wolę o tej ziemi,
co naprawdę tak mi blizką
że nie umiem już inaczej
mówić o niej, jak cichemi
słowy szczęścia i zachwytu.

Więc o ziemi — o tej mojej,
nowogródzkiej! Czy jest „ładną“ —
nie wiem. Ale myśl skrzydlata
w taki wspomnień czar ją stroi,
w tak bezmierną dal błękitu,
w taki blask, że w proch upadną
przed nią wszystkie cuda świata.

Patrzcie! Oto jej koronę
czynią dęby, wyniesione
ponad czoła wzgórz, w błękity
utopione w wielką ciszę . . .
Patrzcie! Lekki wiatr kołysze
płaszcz królowej złotolity,
podzierzgany w barw koronki,
a ten — spływa w kwietne łąki
w bujną zieleń pól rodzajnych,
w jasne wstęgi dróg rozstajnych,
miedz wzorzystych, w złote zboże
rozszumiane jako morze! . .

Luby widok! Pierś oddycha
rytmem mocnym a szerokim;
zachwyconym błądzisz okiem
po tej ziemi, po rodzonej,
co miłośnie się uśmiecha
i na ciebie woła zcicha
głosem matki utraconej...

Ziemio! Matko i królowo
przez twe dzieci opuszczona!
Ciernie wieńczą twoje skronie,
wdowie kiry nad twą głową,
miecz boleści tkwi u łona!
Szarpią świętokradzkie dłonie
żywe strzępy twego ciała,
i jak święte męczennice
krwią tortury spływasz cała...

Ziemio moja, jak odsłonić
w miłowaniu, drżącą ręką
twe matczyne, drogie lice
i do nóg się twych pokłonić?
Jak wyśpiewać tajemnice
twych prastarych dum — piosenką
pełną łez, od których zmiękną
serc kamienie? Jak twe piękno
sławić wieczne, twoją rzewną
cichość, twoje jasne słońce?
Jakie słowa gorejące
zakląć w zimne lutni drewno,

by wyśpiewać wszystkie czary,
by powskrzeszać wszystkie mary
i, w drgający kształt odziane,
wytęsknione, wybłagane,
żywe, krwią serdeczną skrawe
rzucić — ludziom na zabawę!..

. . . .

Ja cię widzę zawsze piękną,
zawsze młodą i kwitnącą,
ja cię taką chowam w duszy,
w myślach, co pokornie klękną
ilekroć z życiowej głuszy
wrócą k'tobie i potrącą
dawnych wspomnień strunę rdzawą,
przysypaną lat kurzawą,
niezgojonym bólem łzawą,
niewymownym czarem tchnącą...

II.

Fijołki i topole.

O czem mówić? Jaki kątek
miłowania wskrzesić wolą?
W najdawniejszych kraj pamiątek
jak odlecieć — i do ziemi
do rodzimej, do jedynej,
między głogi i kaliny
na pagórku pod topolą
przypaść skrzydły znużonemi?..

O topole, ojce stare,
lat dziecinnych towarzysze!
Harfy szumne, roznoszące
nad zielonych głębin ciszę
strun rozkołysanych gwarę!
Łamią burz wichrowe gońce
resztki wasze, pustkę sieją
i świetności dawnej ślady
niszczą. Przeznaczeń koleją
iść wam w grobu pomrok blady...

Lecz nie całkiem wy umrzecie,
o topole praojcowe!
Przetrwa pamięć gędźby szumnej
pod toporem spadłą głowę.

Czas wam kraśnych wieńców kwiecie
na próchniczne rzuci trumny,
w nowe kształty ucieleśni
zmartwychwstałą waszą chwałę
i na wieki żyć będziecie
wypięknione, zolbrzymiałe
w serca tęsknej pieśni . . .

Jak pamiętne mi te lata,
gdyście tłumnie otaczały
dom rodzinny, dom mój biały;
gdyście od całego świata
tego raju oddzielały
niezmąconą niczem dolę.
Już w dalekie owe czasy
jam kochał was, o topole,
wy strzeliste, rozłożyste,
takie szumne, takie dumne,
takie pełne krasy! . .

O, litewskiej wsi topole,
wy — nie drzewa, wy — symbole,
które ręka Boga czyni
nad ojczystych niw przestworem,
wy — krzyżami tej świątyni,
co się zowie polskim dworem!
Wyście tym widomym progiem,
który z karmicielką - glebą,

z matką - ziemią łączy niebo
i człowieka — z Bogiem...

. . . .

O czem marzyć?.. Gdzieś daleko
przez widmowy rząd topoli
snują się obrazy domu...
Wiosna... wicher... echa gromu...
głos kochany... O, jak boli,
o, jak pali pod powieką
niespłynięta łza...

Tam, w dole
w głębi sadu, gdzie topole
szumią, w trawie — fjołki rosną...
Ktoś się chciwie ku nim skłania...
słychać głosy i wołania...
świeci słońce... pachnie wiosną...
ktoś się zbliża... ktoś znów woła...
ktoś kędziory głaszcze złote
pieszczotliwą białą ręką,
taką dobrą, taką miekką...

To tak dawno... całe wieki...
a dziś jeszcze — tu — u czoła
kiedy przymknę ócz powieki
czuję słodką tę pieszczotę
i te słowa, coraz cichsze...

Czuję wiosny uroczyste
świętowanie wielkanocne
w bladem słońcu, w rzeźwym wichrze
w woni fjołków . . . O, zaiste,
to wspomnienie, jak śmierć mocne . . .

I w śmiertelnem upojeniu
wciągam zapach ten zawrotny,
i przeżywam w jednem mgnieniu
wszystkie uczuć mych pamiątki,
wszystkie cudów mych zakątki,
i tej wiosny, niepowrotny
czar . . .

Zastygły, skamieniały
w tem widzeniu wzrok się mroczy
mgłą rozkoszy . . . Fjołków oczy
z za zielonej traw oprawy
przymrużone patrzą skromnie,
jakby ozwać się nie śmiały . . .
Patrzą na mnie tak niewinnie,
tak błękitnie i dziecinnie,
jakby się wdzięczyły do mnie
i uśmiechem mię wołały
na gonitwy i zabawy . . .
W rozkwieconych ziół ustroni
tak przymilnie głos ich dzwoni:

„Pójdź na ziemię, na zieloną,
pójdź w dziecięce nasze grono,

pójdź się bawić razem z nami,
z liljowemi fijołkami!
Powiążemy się za ręce
i splecione w lotne wieńce
popłyniemy w chór taneczny
po murawie, po słonecznej...

W nasze kwietne korowody
zaprosimy gwarne pszczółki,
by się przyszły z nami bratać
i pachnące spijać miody,
a motyle i jaskółki
będą z nami lśnić w zawody,
tęczowemi skrzydły latać.

Zniknie cudem wszelki przedział
i nie będziesz nawet wiedział
czy my kwiatki, czy aniołki,
co ulewą chmur błękitną
od złocistej Boga chwały
do ogrodu się zleciały,
na darninę aksamitną
i kolorem nieba kwitną,
świecą jego uśmiechami...

„Pójdź się bawić chłopcze z nami,
czar wiosenny cię omami,
tanecznemi girlandami

będziem się po gąszczach chować,
szafirowe wianki splatać,
i pieścić się, i całować,
i radośnie w słońcu latać...
Chodź się bawić z fijołkami!..
. . . .

Ciche i niewinne
myśli marzą się dziecinne,
marzą się obrazy domu,
lecz o tych nie mogę głośno
mówić — nigdy i nikomu...

Wiatr się zrywa — pachnie wiosną—
od nadrzecznych łąk i błoni,
od zachodu modrej dali,
jak tysiącznych tętent koni
idzie huk wichrowej fali;
płynie z wiatrem wieść radośna,
oczy się doń szczęśnie śmieją,
serce drży cudu nadzieją:
— idzie wiosna! idzie wiosna!

Wnet nadleci, wnet ogarnie
wszystko w swe błękitne tonie,
wnet zatopi, wnet pochłonie
świat złocistą blasków falą!
Z wiatru szumnem uniesieniem
sercu boskie da męczarnie
szczęścia, co je tak rozpalą
jednem cudu upragnieniem,

że z tęsknoty — zamrze w łonie,
że z rozkoszy — spłonie!

Lecz — jeżeli się nie stanie
to pragnienie, to czekanie?..
Lecz — jeżeli nie przyleci
ten skrzydlaty rajski ptak,
nie roznieci, nie zaświeci
brylantowych skier zamieci
w rozgorzały słońca znak?
Jeśli złudne — te przecudne
oczekiwań lubych dreszcze,
jeśli nic się dziś nie stanie
i znów wszystko pozostanie
po dawnemu — smutne, nudne
długo, długo jeszcze?..

Nie! — przyjść musi upragnione,
wyczekane, wymarzone,
nienazwane, niepojęte,
niewymowne, boskie, święte;
przyjdzie — wichrem się rozśmieje,
złotym ogniem zajaśnieje,
rozpromieni cały świat;
z uwieńczoną przyjdzie skronią,
darząc blaskiem, barwą, wonią,
sypiąc szczodrą wkoło dłonią
czarodziejski wiosny kwiat!

Przyjdzie! — rwie się dusza z łona
i przeczuciem serce drży,
tęskne prężą się ramiona,
w oczach płoną skry.
Przyjdzie! — wicher dech zapiera,
wzrok sloneczna zorza ćmi,
dusza z szczęścia obumiera...
Wiosno! czyś to ty?..

. . . .

A szczytami topól wieje
wieść donośna, wieść rozgłośna,
płynie — pędzi — gna — szaleje,
budzi w sercu cud-nadzieję:
wiosna idzie! wiosna!..

. . . .

Rozszumiała się stara topola
u mojego nizkiego okienka,
przyszła do mnie przez łąki i pola
zapomniana dziecinna piosenka.
Zapachniała mi wiatru pieszczotą
i fijołków mruganiem serdecznem.
roziskrzyła koliskiem słonecznem
jasnych niebios szafiry i złoto.
Zapachniała mi ziemią wilgotną,
świeżej trawy upojnym oddechem,
i młodości niewinnym uśmiechem
rozjaśniła mą duszę samotną...

. . . .

Powróciła dziecinna wiosenka,
rozsypała swe cuda i krasy,
rozdzwoniła się moja piosenka
popłynęła na bory, na lasy,
popłynęła na pola, na łąki,
z porannemi skowronków szczebioty,
rozbawieniem skrzydlatej pustoty
dzwonią chórem srebrzyste jej dzwonki...
Dzwoni echem melodja serdeczna
wśród konarów szumiącej topoli,
i choć serce się skarży i boli,
— gra mi w duszy piosenka odwieczna...

. . . .

. . . .

Zdala... zdala...
tej piosenki dziwnej dźwięczą tony
i, jak niegdyś, od zachodniej znowu strony
ta błękitna, ta wiosenna idzie fala.
Gdzieś po rośnych łąkach huczy tak ogromnie,
tak rozpędem szalejąca się przewala,
tak na skrzydłach rozwichrzonych się kołysze,
że choć spokój i słoneczność jest wokoło mnie,
przez poranka złotą ciszę
tu ją słyszę...

Jasna, cicha
głębia sadu słońcem się uśmiecha
i traw młodym puchem szczęśnie zielenieje...

Trochę blado, trochę smutno jeszcze
dłużą się bezlistne drzew aleje,
ale czuć już w nich zbudzonych pragnień dreszcze
i tę ufną, hardą młodych lat nadzieję,
czekającą u kwiecistych wiosny wrót,
aż się stanie — cud...

Jakieś głosy
rozśpiewane ciągną przez niebiosy...
napowietrznych jakby gęśli grania...
Czy to czajek lotne chmary w łąkach dzwonią?
Czy to wicher na topoli strunach jęczy?
Czy też anioł jakiś biały zmartwychwstania,
błogosławiąc rozpostartą z nieba dłonią
na stubarwnej gra obręczy
bożej tęczy?...

Coraz nowe,
coraz bliższe tętna grzmią echowe...
Nie wiem, czy to wód wezbranych
[wielkie morze
zalewiskiem szumnem gra w błękicie,
czy goreje wichrem chmur przestworze
i błyskawic pali wstęgi purpurowe,
czy to idzie ku mnie samo życie,
jego święta pieśń miłośna —
— wiosna!

Dookoła,
zewsząd tajemnicza moc mię woła,

w tę daleką jasność iść przymusza,
iść do czegoś nieznanego, cudownego,
za czem tęskni tak rozkosznie dusza,
za czem myśli tak radośnie biegą,
co przyśpiesza głośne serca bicie,
co nadzieję, zachwyt, szczęście niesie,
i tak cudnie zwie się:
życie...

Iść chcę w dal,
w bezgraniczną, rozzłoconą słońcem dal;
przez dzwoniące skowronkami wielkie pola,
hen, za widnokręgu mglistość siną,
tam, skąd cudów obietnice z wiatrem płyną,
tam, gdzie spotka mię tajemna moja dola,
co już zbliża się, nadciąga, pędzi, rośnie,
co ogarnia takim świętym szczęścia strachem,
i olbrzymich skrzydeł swych rozmachem
gra o wiośnie...

Przyjdź, o falo!
przyjdź, grająca, szumna, przyjdź, szalona,
w nieskończoność niech mię porwą twe ramiona,
pocałunki twe niech ogniem palą,
w twych uściskach niechaj dusza kona!

Przyjdź, wiosenna falo!
Wyrwij mię z pochmurnej bytu cieśni
i na rozhukanych twych zatopów szczycie
przez twe głębie, wichry, pieśni,
nieś mię — w życie!..

III.

Błogosławieństwo domu.

Ten widmowy rząd topoli
czemuż myśl mą wciąż niewoli?
Czemu prosto w moją duszę
patrzą okien źrenicami
te uroczne białe ściany?
Zbyt są piękne... niezrównany
czar ich słowo tylko splami,
o nich milczeć muszę...
I, z oczyma zamkniętemi
ciesząc się i pieszcząc niemi,
widzę, jak się zwolna zmienia
w baśń cudowną wiek przeżyty,
jak nić złotem upleciona
z marzeń snuje się wrzeciona
przez młodości mej błękity,
jak ta młodość zmartwychwstała
takim dziwnym blaskiem pała
w pieśni kształt zaklęta...

Widzę... oto droga kręta
pierścieniami, niby żmija
borem — lasem się przewija,
wiodąc ku zachodniej stronie,
gdzie wystrzela ponad klony
krzyż, i w słońcu jasno płonie.

Na kurhanie, na wysokim
smukła piętrzy się kaplica
i, czerwienią krasząc lica,
zegarowem patrzy okiem.
A na nieszpór, kiedy dzwony
srebrną chwalbą się rozdzwonią,
echem dźwięczy okolica
aż zdziwione cichną klony
zasłuchane w śpiewne dzwony...

Wije się drożyna kręta,
bieży w dal jej biały ślad...
O, jak serce ją pamięta,
mimo przepaść tylu lat!

Widzę jeszcze — pod dzwonnicą
mchem porosłe cmentarzysko,
i cerkiewkę modrzewiową.
Stoją lipy w rząd ulicą
i zawodzą lament szumny
nad zgrzybiałą samotnicą,
a kołysząc do snu trumny
chylą się nad niemi nizko
z pieszczotliwą, słodką mową,
jakby matka nad kołyską...

Płynie droga wstęgą białą
przez domowe płynie strony...
Serce nic nie zapomniało...

Oto brzozy — żałobnice,
oto wzgórek, wyniesiony
ponad całą okolicę,
skąd się widok w dal odmyka,
ten z dziecięcych snów krainy
najpiękniejszy i jedyny . . .
Tam na wzgórzu gęstwa dzika
brzóz na wietrze gra żałośnie
i mogilny kamień kryje.
Na mogile zapomnienia
trawa rośnie,
nad mogiłą opuszczenia
wicher wyje . . .

Jak daleko, jak szeroko
sięga oko w niemą dal,
co się ściele u mych stóp
martwa, jak ten grób . . .
Płacze szum wichrowych fal . . .
Za przeszłością co w tym grobie
pochowana, w brzóz żałobie
płacze żal . . .

. . . .

. . . .

Wieku dziecięcy, wieku złoty,
raju nazawsze utracony!
Pełen wzruszenia i tęsknoty
patrzę dziś w twoje drzwi zawarte,
i żal odwracać mi tę kartę,

i żal porzucać utracony
twych wspomnień czar . . .
Niech znowu wstaną
tych starych lip wyniosłe cienie,
i, jako niegdyś, zwartą ścianą
u bramy przed dziedzińcem strzegą
zacisza domu rodzinnego . . .
Niech wejdę znów niepostrzeżenie
przez ciemny gąszcz dzikiego wina
w tę mroczną sień, gdzie jarzębina
oplata dożynkowe wieńce
i kraśnych jagód koralami
ich złoto-płową więź czerwieni,
a gałęzisty róg jeleni
wyciąga swe palczaste ręce . . .

Komnaty stare! znowum z wami . . .
Wysokie, wyżłobione progi
z ceglanej wznoszą się podłogi,
i drzwi dębowe, wpółotwarte
gościnną odprawując wartę
czarnemi kładą się plamami
na ścian pobiałę — nade drzwiami
świeci obrazek Matki Boskiej,
a na brunatnej ramie drzwi
jak dobrotliwej wróżby zgłoski
skreślone białe krzyże trzy,
i obok nich, na ciemnem tle
święconą kredą C. M. B.

Jak ptaszę błędne i tułacze
padam, o domu, przed twym progiem
i pieszczę się twym cieniem drogim . . .
Myśl wraca w twoje białe ściany,
których już nigdy nie zobaczę
i obraz twój niezapomniany
maluje rada . . . w głębi duszy
on lśni niezgasłych barw odbiciem
i nic go stamtąd nie poruszy
nic go nie wydrze, chyba z życiem,
tak wrósł głęboko w serce moje . . .

Ze ściany patrzą poczerniałe
portrety królów i rycerzy,
karmazyn świeci, błyszczą zbroje . . .
Od nich wzrok rozczulony bieży
pomiędzy okna nizkie, małe
ku sędziwemu zegarowi
w oszklonej szafce . . . Ucho łowi
jego poważny chód miarowy,
i czeka aż drżącemi słowy
powitań druh przemówi stary
i odpowiedzą mu zegary
z dalszych pokoi . . . i popłyną
w dziecinnej, dawnej takt piosenki
zegarów starych dźwięki . . .

Pod belkowaniem, u powały
osnutej wieczną pajęczyną,
zwieszają się pachnące pęki

suszonych ziół i pokój cały
aromatyczną wonią mięty
jak kadzielnica przesiąknięty.

W rogu ogromny piec zielony
rozsiadł się krzepko na dwie strony
i rozwarł swoje czarne gardło,
a rdzawe drzwiczki na zawiasie
żałobnie wnet zaskrzypią, zda się,
niby kumoszki podchmielonej
na stypie płacz nad duszą zmarłą . . .

. . . .

Jak urzeczony, jak zaklęty
przez szereg błąkam się pokoi . . .
Znajome patrzą na mnie sprzęty,
na dawnem miejscu każdy stoi,
każdy ma twarz odmienną, własną,
na każdem czytam zdarzeń ślady
tylko mojemu widne oku . . .

Oto świeczniki tleją, gasną,
pokoje grążą się w półmroku,
oknami zmierzch napływa blady . . .
Jakieś niejasne, mgliste mary
w białawym roją się obłoku,
jakieś pogwary, jakieś czary
nachodzą dom mój stary . . .

Coś jękło . . . w starym klawikordzie
ostatnia struna nadpęknięta

w zamierającym drży akordzie...
O, jakże serce cię pamięta,
piosenko, w strunie tej zaklęta,
w tej zardzewiałej strunie!..
Jak brzęczy akord, ledwie tknięty
przez siwowłosą tę babunię,
co jak z portretu... Gładkie njoby,
w oczach powaga, cień żałoby,
ze starodawnych szal koronek
na krynoliny czerń rozpięty,
szelest jedwabiu... Jak go słyszę
ten jakby harfy szklany dzwonek,
którym pożółkłe brzmią klawisze
do wtóru słów „Stach mi pierścionek...“

Staruszka gra — woskowe ręce
płynnemi ruchy takty znaczą,
zbudzone w cichej jej piosence
jakieś dalekie echa płaczą...
Młodzieńczych rojeń przypomnienia
wstają kolorów cudnych tęczą,
lecz kir żałobny je ocienia...
Jak smętna harfa struny jęczą...
Przeszłości echo się kołacze
błękitną, wiotką mgłą pajęczą,
w piosnce babuni skargi dźwięczą...
Na strunach harfy serce płacze...
Piosnka babuni nagle rwie się,
milknie w zgrzytliwej strun rozterce,

stargany okrzyk echo niesie . . .
Strunaż to pękła tak, czy serce ? . .

W domostwa gęstniejącym mroku
coraz to nowe wstają mary,
jakieś widzenia, jakieś czary
w ruchomym kłębią się obłoku.
Jakby pokutująca dusza
trawiona w wiecznych nieukojach,
coś szemrze zcicha, coś się rusza,
coś niespodzianą zjawą łudzi,
coś mgli się, błyska po pokojach . . .
Z letargu dom się budzi . . .

Co żyło mocą ukochania,
to, choć przeżyte, nie umiera,
i, jako bratnia spowiedź szczera
tajniki swoje mi odsłania.

Stare mahonie, w bronz oprawne,
głębokie ukazują skrytki,
pamiątek święte relikwiarze
spłowiałych wstążek, listów zwitki . . .
Sylwety matron starodawne
zwracają swe dostojne twarze
i na posadzkę mrocznej sali
spływają z złotych swych owali.
Na ścianach pradziadowe kordy
krzyżową sztuką tną powietrze

i błyskawicą się wywija
krzesany stalą znak: Maryja!
i ściera w proch pohańców hordy.
Od zaświatowych wzdychań ledsze
nucą melodje klawikordy,
szemrają cichą, srebrną struną
chorały modlitewne...

Jako poranna mgła rozwiewne
przez komnat rzędy rojno suną
widmowe poloneza pary
i przewijają się falisto
procesją wolną, uroczystą...

Nanowo ożył dom mój stary
ożyły drogie, dawne dzieje...
Lecz oto pierwszy kur zapieje,
zajękną wszystkie w głos zegary
północ... i naraz, w tej godzinie
zbledną uroki, prysną czary
i wszystko w ciemność się rozpłynie...

Zostałem sam, lecz się nie boję
samotni, w której błądzić muszę;
ten dom — te sprzęty — te pokoje
otwarły mi swą duszę...

. . . .

Drzwi boczne do sypialni wiodą,
tam, przy łóżeczku, nad komodą

wisi w otoku czarnej ramy
obrazek męki Chrystusowej,
taki pożółkły, cały w plamy,
upstrzony modlitewek słowy,
a ponad modlitwami, w górze
widnieją zdala zgłoski duże:
„Błogosławieństwo Domu“.

Na klęczki!.. W imię Ojca, Syna...
łzy przesłaniają wzrok... Ach, komu
nie zwilgną oczy, gdy dziecina
przed tym obrazem kornie klęknie
i złoży rączki grzecznie, pięknie,
i w swej pieszczonej prosi mowie
u Boga o mamusi zdrowie,
o szczęście dla całego domu?..

Lampa tli mrąco — północ głucha,
i Bóg modlitwy dziecka słucha.

. . . .

Z uśmiechem smętku i dobroci
Bóg sny mu zsyła malowane...
Pada złocisty deszcz stokroci,
aniołów wionie rój skrzydlaty,
i wszystkie przyszłych wiosen kwiaty
w girlandy wiążą się różane...
Przez półotwartą niebu ścianę
białych aniołów schodzą wianki
i nucą rajskie kołysanki

i na uśpioną dziecka głowę
sypią swe dary kolorowe . . .

. . . .

Wtem sennych marzeń treść się zmienia . . .
coś wstrząsa nagłym trwogi dreszczem . . .
Co to? Dalekie gdzieś tętnienia
rosną i cwałem grzmią złowieszczym,
jakby pędzących tabun koni,
jakgdyby groźny krzyk pogoni . . .

Coraz to bliżej huk złowrogi
uderza młotem tuż, u skroni,
a siły biedz nie mają nogi,
jak w ziemię wrosłe — głosu brak,
a pogoń tętni: tak — tak — tak!
Straszno! Za chwilę — wnet — dogoni . . .
Na pomoc! . .
Lecz wtem — przebudzenie:
to sen był, to tak biło głośno
przelękłe serce, co donośną
i teraz jeszcze tętni falą,
to brzmi zegara tak cykanie
śpieszne — ot tam — na tamtej ścianie . . .
To sen był — mija przerażenie,
lecz wkoło ciemno — niech zapalą . . .
Za oknem słychać psów szczekanie
i stróża świst — a zegar cyka,
a serce bije nieprzerwanie . . .

I ręka dziecka się przemyka,
matczynej zbawczej ręki szuka,
ratunku głos cichutki wzywa,
a serce drży, a zegar stuka . . .

Wnet matki ręka pieszczotliwa
przynosi spokój — i przepadło
bez śladu strasznych snów widziadło,
i nowych marzeń świat uroczy
spływa na senne dziecka oczy.
I znowu schodzi do wyłomu
tej otworzonej w niebo ściany,
białych aniołów rój świetlany
i znów do jasnych snów kołysze
i niesie spokój, ufność, ciszę,
błogosławieństwo domu . , .

. . . .

. . . .

Wieku dziecinny, o jak trudno
rozstać się z twoją zjawą cudną,
co, choć złożona w trumnie,
wciąż budzi się we śnie głębokim,
i kochającej matki okiem
spogląda zdala ku mnie . . .

. . . .

Zimowy wieczór. Mrok zapada,
Wicher zdobywa szturmem ściany.

Niby wędrowiec zabłąkany
w okno śnieżyca patrzy blada.
W izbie wesoły ogień płonie
i skier rzęsistych trzaskiem gada,
stara piastunka opowiada
baśń o królewnie Magielonie...

Złotą czerwienią piec się świeci
i huczy głośno, a miarowo
tętniącym wtórem w takt zamieci.
Od pieca drżących świateł smugi
pełzną po ścianie w szereg długi,
i ponad jasną dziecka głową
błyszczą się w złotym tle obrazka.
Za oknem wiatr się gniewnie miota,
płomień raz w raz iskrami trzaska,
a, opowieści lubej rada,
dziecina z prośbą rączki składa:
„Mów jeszcze, nianiu, moja złota!“

Pokoje toną w martwym cieniu,
po ciemnych kątach coś się czai,
coś straszy w groźnem ich milczeniu.
Podobna wściekłej wilków zgrai
wyje śnieżyca, gna po dachu,
sroży się biała jej kurzawa...
Lecz tu, przy niani, niema strachu,
a bajka śliczna i ciekawa!

„ Nianiu, mów jeszcze o królewnie,
„ co to została bez mamusi . . . “
Naraz się złamie głos niepewnie,
w oczach zapytań trwożna gama,
„ nie . . . czekaj . . . mów — a moja mama,
„ czy ona także umrzeć musi ?. . “

„ Ach nie, syneczku — to nie wszędzie
„ tak bywa, nie, mój ty serdeczny,
„ módl się do Bozi i bądź grzeczny,
„ a żyć mamusia zawsze będzie “.

Uśmiech przez łzy, jak słońca promień
z za chmur . . . Powraca znowu radość
i cisza . . . Okrutnego życia
stało się pierwszej groźbie zadość.

Snuje się bajka, huczy płomień,
milkną wichury głodne wycia,
i mrok już nie przejmuje trwogą;
odblaski ognia, rozigrane
w tańczące pręgi złocą ścianę,
wkoło zacisznie tak i błogo . . .
Lśni przędza bajki kolorowa,
rozbudza duszę do marzenia,
i rzeczywistość w cud zamienia,
w muzykę — głos, a w dziwy — słowa . .

Wesoło, jasno piec się pali,
zachwytem wzrok wpatrzony płonie . . .

stara piastunka prawi dalej
baśń o królewnie Magielonie . . .

. . . .

Minionych zim śniegowe puchy
wirują lotnych gwiazd igrzyskiem,
i szepcą mi, jak bratnie duchy
o czemś tak dawnem, a tak blizkiem,
o czemś, jak one białem, czystem,
szepcą przyjaźnie mi do ucha,
i w zadumaniu uroczystem
serce ich mowy rade słucha . . .

Jest wieczór — wczesny zmierzch zimowy
zamyka dzień uśmiechem bladym,
przedemną drogi wstęga kręta
uchodzi w dal zawianym śladem,
równina pusta, osłonięta
całunem śniegu, ma ton płowy
od blasków, zgasłych na zachodzie . . .

Powracam z miasła, z szkół, na święta,
z myślą wesołą o swobodzie,
o wsi, o domu, o rodzicach,
o kolorowo skrzących świecach
choinki. Sanie skrzypią głośno
i głuszą szybki tętent koni,
u duhy dzwonek śpiewkę dzwoni
napoły rzewną, wpół radośną:

dźwięk się rozchodzi po równinie
i w rozpłyniętych echach ginie...

Na widnokręgu stoją lasy
w dal rozciągnione smugą ciemną,
nad niemi mgły czernieją pasy
i gęstwą kłębią się tajemną,
daleką lasy biegną linją
i niebu siną ramę czynią.
Coś się dziwnego staje ze mną
wśród tych pustynnych pól rozłogów.
Jak ptak, co się do lotu zrywa,
myśl je wyprzedza niecierpliwa,
i śpieszy do domowych progów
i staje w cichej, ciemnej sieni,
gdzie wnet zaświecą okna jasno,
i cisza w tłumny ruch się zmieni,
gdzie wnet radośnie dłonie klasną,
wnet każdy pieści, każdy wita,
każdy wesoło, gwarnie pyta...

A jednak — i ten zmierzch bladawy
bezludnych pól nie budzi we mnie
żadnego smętku, ni obawy.
Tak mi jest raźno, tak przyjemnie
jechać falistym drogi szlakiem,
i z każdym drzewem, z każdym krzakiem
witać się rozjaśnioną twarzą.
Myśli pogodne się kojarzą

z białością sennej okolicy,
i płyną równo, zapatrzone
w obrazów szereg różnolicy.
Myśli kołysze tętent koni,
a dzwonek jęczy, dzwonek dzwoni...

Te wielkie dale zaśnieżone,
te nizkie, wpółzawiane chaty,
ten krzyż, co chyli się żałośnie
ku siostrze swej, garbatej sośnie,
ubranej w szronów białe kwiaty,
te ociężałych wron przeloty
i nadstudziennych skrzyp żórawi,
wysokie zaspy, krzywe płoty,
spadziste zjazdy i wyboje,
— to wszystko takie znane, swoje,
wszystko mię cieszy, wszystko bawi.

I w przedwieczornym zamyśleniu
tych śnieżnych pól, tej białej ziemi,
czuję, jak coś mię wiąże z niemi,
niewidzialnemi serca nićmi,
i w nagłem jakiemś objawieniu
szepce, że z niemi tylko żyć mi,
że w nich jest całe szczęście moje.
A w duszy, jasno i pogodnie,
a myśli rozbudzonych roje,
jako te śniegi czyste, białe,
marzeniem pierwszem osrebrniałe

lecą szeroko i swobodnie.
Myślom wtóruje tętent koni,
a sanki mkną, a dzwonek dzwoni,
i jak swietliste, bratnie duchy,
wirują lotnych śniegów puchy...

. . . .

O wiosko miła! jakże trudno
odejść od ciebie w tę bezludną
dal, w tę dzisiejszą szarość smutną,
gdy przez marzenia barwne płótno
coraz się nowe przewijają
obrazy fantastyczną zgrają,
takie zaciszne i kochane,
taką czarowną mgłą owiane!..

O wsi litewska! jaką dolę
gotuje ci przeznaczeń ręka?
jakich ci przemian grozi męka,
jakie utraty, jakie bóle?
Ile twych skarbów dasz w ofierze
twardemu jutru, co już kroczy
z zakrytą twarzą?..
O tem wolę
nie myśleć i, zamknąwszy oczy
wierzyć... Ja w ciebie, ziemio, wierzę,
dziecinnie, ślepo, a tak szczerze...
Wierzę w twą jutrznię zmartwychwstania
przez krew męczeńską twoich dzieci,

przez twoją świętą moc wytrwania,
przez trud i ból stuleci...
W posępnych, chmurnych dni żałobie
ta jedna jeszcze gwiazda świeci
i zwątpić w przyszłość mi zabrania.
Ja wierzę w nią... A gdyby tobie
sądzona śmierć nieubłagana,
niech i ja padnę na twym grobie,
jak pies przy zwłokach swego pana,
bo szczęścia po twych kras pogrzebie
nie znaleźć mi — bez ciebie,
bo żyć, i w ciebie nie módz wierzyć
to znaczy — nie żyć...

IV.

Wieczorna godzina duszy.

Wiosenny czar powraca znów
i znów w błękitną woła dal...
Rozwianych mar, prześnionych snów
czy ci nie żal?..

Wiosennych wód rozlewna toń
nawiewa roje lubych dum,
nadzieją tętni wiatru szum...
Nie tęsknisz doń?..

Nad rzeką wstają srebrne mgły,
miłosnym chórem płynie śpiew
i budzi w echach sennych drzew
omdlałe sny...

Gasnący blask wieczornych zórz
różaną łuną barwi świat,
lecz nie dla ciebie płonie kwiat
tych kraśnych róż...

Omija urok śpiewnych fal
twojego serca martwy dzwon,
nie zadrży on na pieśni ton...
Czy ci nie żal?..

. . . . ,

Ucichnij, serce! milczcie wargi!
do żalów wyście dziś za dumne.
Dziś wschodzi pieśni dzień — nie skargi,
dziś nie łzawnicę, lecz kolumnę
uczynię z ciebie, o me serce,
i staniesz pomnikowym głazem.
A chociaż nawskroś cię żelazem
palącem wspomnień mych przewiercę,
choć myślą cię w kawały potnę,
nie skarż się — milcz i trwaj, samotne...

Świętości moje kładę w trumnę,
zamykam jej kryształne wnętrze,
i cudne mary moje piętrzę
w wysoką aż do gwiazd kolumnę.
Na marmurową jej podstawę
mojego serca strzępy krwawe
ciskam bez żalu, a na szczycie,
drgające świeżych ran czerwienią
posągiem błyska — życie...

Daremne płakać żale? Po co?
Losy wyrzekły — nie odmienią.
Żal tym zostawię, co nie śmieli
niebieskim szlakiem wzbić się ze mną
tam, kędy biali śnią anieli
i w słońcu skrzydła jasne złocą.
Teraz przepaścią mię tajemną
od nich już całe niebo dzieli

tych gwiazd miljonem, co migocą
w błękitów srebrnej pogorzeli.
Teraz jam zwalczył marzeń mocą
szarzyznę życia i, nikczemną,
zmusił ją kwitnąć razem ze mną,
razem słowicze pieśni śpiewać,
i tęczą lśnić, i łzą omdlewać.

Tę czarę, której dusza głodna
pragnęła — jam ją wypił do dna
i dziś, nad jej rozbitą bryłą,
patrzący w spustoszenia dzieło
nie płaczę nad tem, co minęło,
lecz wdzięcznem mówię sercem: — było...

Ja się nie skarżę — znam, co burze
błyskawicową groźne twarzą,
kędy w oślepłej mrokiem chmurze
pioruny grzmią i w serce rażą.
Znam ust upojnych moc straszliwą,
i mgłą roskoszy zwilgłe oczy,
i ciche lubych rąk pieszczoty...
Znam beznadziejny krzyk tęsknoty
za ludzkim tchem, za duszą żywą,
znam pustkę, która życie mroczy
i niesie czarne smutku żniwo.
Znam buntowniczych pragnień klęski,
co szczęście zdobyć śnią zuchwale,
znam bezsłonecznych więzień kraty
i wolnych lotów jasne dale,

i dopełnienia kres zwycięzki,
tryumfu dzwony, pieśni, kwiaty . . .

Gdy dziś na przeszłość patrzę zmarłą,
tej jednej myśli nic nie zgłuszy,
że wszystko życie mi wydarło,
zabrało wszystko — oprócz duszy.
Ta mi została: jej ogniwa
w niemęskich żalach już nie zmiękną,
gdy dawny świat mój dogorywa
— ona chce trwać i zostać piękną.

Ona żyć będzie . . . o, jak cudnie
roztoczę widzeń mych kolory! . .
o, jak radośnie świat zaludnię
fantastycznemi baśni twory!
Kwiecistych tęcz powiążę szarfy
z przędziwem słonecznego złota
i struny z nich uczynię harfy,
na których zagra ma tęsknota . . .

Jak łatwo biedny świat dokolny
przemienię różdżki mej skinieniem,
aby posłuszny, podniewolny
rozgorzał gromem i płomieniem;
aby rozbłysnął zorzą słońca,
pożyczył blasków u miesiąca,
wziął barwy u motylich skrzydeł,
u srebrem tkanej mgły pajęczej,
u kolorowych wstążek tęczy,
u róż płonących malowideł . . .

Aby za każdym moim gestem
coraz bogatsze wdziewał stroje,
i rzekł, wstępując w me podwoje:
„Chciałeś mię pięknym — oto jestem!“

Z jakim spokojem w dłoń uchwycę
królewskie marzeń moich berło,
i skrzeszę z oczu błyskawice,
i każdą łzę uczynię perłą,
i każdą kroplę krwi przemienię
w rubinów skrzące się płomienie,
i piersi tchnienie rozprzestrzenię
w srebrzyste gwiazd mgławice...

A potem wezmę moje serce
wyrwane z dymiącego łona,
i wbiję weń zastygłe oczy...
O, patrzcie, jak purpurą broczy,
jak pada świecąc, krew czerwona
kroplistą iskrą po iskierce;
jak grad paciorków krwawych toczy,
jak koralowym deszczem kona!..
Nie bójcie się — podstąpcie blizko
i patrzcie — na to widowisko
zapraszam wszystkich was, morderce!..

. . . .

Ach dość! — w daremnych słów
[szermierce
niech jednej chwili już nie stracę.

W zaczarowane me pałace
chcę wrócić znów... Ty prowadź,
[serce...

W dziecinnych wspomnień mych
[skarbnicę
prowadź mię złotą, niech raz jeszcze
wiosennych fjołków woń zachwycę,
niech się ostatni raz napieszczę
zakwitłych cząbrów aromatem...
Niech utęskniony wzrok nasycę
zielonych łanów aksamitem
i dzikich grusz weselnym kwiatem...
Niechaj mi wzbierze pierś zachwytem,
jak wtedy, w wieczór ów różany,
gdy się dokonał cud przemiany,
w ów pierwszy wieczór mojej duszy...

Raz tylko w życiu taka chwila
kielichem kwiatu się rozchyla
i ducha skrzydłom pęta kruszy,
i w różnofarbny lot motyla
pełzanie ślepej myśli zmienia...
Raz tylko jeden taka chwila
olśniewa cudem objawienia...

. . . .
. . . .

Ach świećcie, chmurki te różowe,
coście się wonczas w ciszę kładły

za widnokręgu kraj pobladły
i płomieniły dziecka głowę
kolorowemi tęcz widziadły!
Powtórzcie oną brzóz rozmowę
z poszeptem wiatru, z liści drżeniem,
z błękitnem nieba ukojeniem...

Ach płoń, niezmierne blasków morze,
coś kołysało na zachodzie
czerwonych chmur płynące łodzie,
i snopem iskier w sinej wodzie
ogniste słało mi podnoże,
żem kląkł i czołem bił w pokorze
przed rozgorzałym w łunach światem,
przed słońca wielkim majestatem!..

Zagrajcie mi wieczorne głosy
mdlejące w dali zbłękitniałej,
zagrajcie echa i chorały,
coście nad senne sianokosy,
nad pól zacichłe wiejąc kłosy
dziecięcym dumkom wtórowały,
gdy po za drzew ciemnemi sploty
ogromny księżyc wstawał złoty...

Był wieczór... Fletni dźwięk pastuszej
płynął na łąk dalekich rosy,
szła święta cisza przez niebiosy
i, śniąca, weszła do mej duszy.

Wszystkie najmilsze gry dziecięce
nagle mi zbladły i zmalały,
i utonąłem słuchem cały
w tym śnie — w tej ciszy — w tej
[piosence . . .

Był wieczór . . . Nizkie, gorejące
pogodnie zachodziło słońce
i zgasłą tarczy swej połową
chowało się za dal liljową,
co nad łąkami i nad rzeką
roztoczą słała się szeroką.
Zaczerwienione słońca oko
mrużyło się pod chmur powieką,
a rzęs firanki, jako strzały
wachlarzem złotym promieniały . . .

W zachodu krwawej aureoli
niby ofiarnych świec lichtarze,
wyolbrzymiały w chmur pożarze
wyrastał czarny rząd topoli
i zjawą pysznił się daleką
nad wielkiem słońcem, które gasło
we fjoletowych mgieł kurzawie . . .
Na nocne leże ptaków sznury
ciągnęły, lecąc w zórz purpury;
drzemiące na altanie pawie
okrzykiem nagłym przerażenia
rzucały swe strażnicze hasło . . .

Kolorów pełny i jaśnienia
stał ogród . . . Pękające liście
sączyły wonnych brzóz opary
i grały w nich chrabąszczów gwary
jak bas organny, uroczyście.
A sczerwienione zorzą jodły
piętrzyły się wysoką ścianą
i kryjąc w cienie twarz rumianą
wieczorny zmierzch za sobą wiodły . . .

. . . .

Raz tylko w życiu taka chwila
zasłony ciemnej brzeg uchyla,
i tajemnica pojmowania
oczom śmiertelnym się odsłania.
Raz jeden bierze w swe ramiona
duszę wyroczna ta godzina,
i śnieżne skrzydła jej przypina
i nad płonącem kreśli czołem
przeznaczeń wieszcze swe znamiona.
Raz białym daje być aniołem,
ubiera proch w świętości szaty
i świecą w nim, jak cudne kwiaty
ogniste jej stygmaty . . .

. . . .

W onej godzinie objawionej
ogromnym stał mi świat kościołem

i jaśniał płomienistem kołem,
i dzwonił w zmartwychwstania dzwony.
W onej godzinie przedwieczornej
w onych płomieni zawierusze,
zachwytem cichy i pokorny,
jam zrzucił moich kajdan brzemię,
i pokochałem wtedy — ziemię,
i odnalazłem — duszę . . .

V.

Jesień.

O bezbrzeża wy zielone
mojej ziemi,
zbóż łanami uścielone
szumiącemi!

O, wiosennych wichrów fale
śpiewające!
O zachwyceń kwietne dale!
O płonące w świętym szale
słońce!

Wyście były mi kołyską,
matką i pacierzem.
Wyście w duszy mej ognisko
rozpalały dziwnych marzeń
i porywów, wy puklerzem
pośród losu przeobrażeń
strzegły mię anielskim.
Byłyście mi rajem sielskim
długo, długo... nim nie błysła
codzienności twarz zdradziecka
wykrzywiona gorzkim śmiechem...

Dla was w sercu mem wytrysła
miłość pierwsza i ostatnia

i owładła duszą dziecka
już nazawsze... Srebrnem echem
miłowania i tęsknoty
grała nuta wasza bratnia,
i ramionem młodym loty
orlich skrzydeł przyprawiała...

Wsi rodzinna! tyś mi dała
wszystko co dać może matka
i kochanka! Zawsze niemi
pozostaniesz mi na ziemi
do samotnych dni ostatka...

Chciałbym wszystkie twoje skarby,
wszystkie krasy, wszystkie wdzięki
poprzemieniać w tony, w farby,
zakląć w dźwięczny rytm piosenki
by w niej całą duszę zmieścić.
Chciałbym w sielskiej tej podróży
każde echo tęsknie chwytać,
każdy grób na klęczkach witać,
każdy obraz sercem pieścić
długo, jak najdłużej...

Ale spokój mi zamąca
myśl, żem coraz bliżej końca
poematu mojej ziemi,
jej błękitów i jej słońca,
i że z niemi ze wszystkiemi

wkrótce przyjdzie mi się rozstać,
by znów — samym zostać...

A gdy w szczerej tej gawędzie
wszystką moją krew wypiszę,
gdy wszystkiemi ja napoję
łzami, gdy ją wykołyszę
wszystkich pragnień mych tęsknotą,
by przed siebie rzucić — w błoto,
gdy ją skończę — czym żyć będzie
wtedy serce moje?..

. . . .

Kiedy nadchodzi życia jesień
kres zapamiętań i uniesień,
serce z tem większą pragnie siłą
pozostać z tem, — co bylo...

Pamiętam jedną moją jesień,
zapomnieć o niej trudno,
tak była cudną...
Był złoty, cichy, blady wrzesień...
Kasztanów prześwietlone w słońcu liście
iskrzyły się przejrzyście,
i jak motyli rój skrzydlaty
leciały na ostatnie kwiaty
na astry smutne;
a kwiaty strój traciły biały
i spadającym liściom żale swe szemrały,
żale pokutne...

I była w tym więdnącym drzew
[kolorze
w zapadłym, cichym dworze,
w omszałych ze starości strzechach,
w obumarłym ogródku,
w listowia szeleszczących echach
taka nieutulona rzewność smutku,
co się westchnieniem po odludnych
[rżyskach słania,
była pajęczych nici powłóczysta chwiejność
i umierającego piękna beznadziejność,
był — żal rozstania . . .

Lecz w mojej duszy było jasno,
lecz sercu było w piersi ciasno,
takim zachwytem ono drżało;
bom śnił w tę jesień sen mój cudny,
mirażów szczęścia sen ułudny
i żył w nim duszą całą . . .

Śniłem, że rankiem, wczesną wiosną
idę przez pola fijołkowe,
że wszędzie wkoło kwiaty rosną
i białych bzów puszyste kiście
sypią się deszczem na mą głowę;
że w dal perłową, w mglistość jasną
milczenie spływa uroczyście,
że ciche gwiazdy, blednąc, gasną,
i słońce, wielkie, złote wschodzi . . .

Śniłem radośny hymn zachwytu
w bladoliljowych bzów powodzi,
w kwiatów i świateł białych żarach
świecących w ciemnem dnie błękitu,
w złocistej nieba przejrzystości,
w weselnych świętej wiosny czarach
śniłem odwieczną pieśń młodości...

I śniłem, że w te jasne pola,
przez tryumfalne wiosny wrota
wiedzie mię przeczuć wieszczba złota
i moja młoda, szczęsna dola;
że tym słonecznym wielkim szlakiem
mą duszę w nowy kraj powiodę
i srebrnopiórym pomknę ptakiem
w dal — w błękit — w słońce — na swobodę!
że śnieżne kwiatów zalewisko
ściele mi cudną w przyszłość drogę,
że, pragnąc, wszystko zdobyć mogę,
że szczęście — tuż jest — blizko, blizko!..

I w uniesieniu, nieprzytomnie
wznosiłem w niebo drżące dłonie,
i rozgorzałe cisnąc skronie
wołałem: szczęście! do mnie! do mnie!

. . . .

I przyszło szczęście — razem z wiosną,
z rozpromienionym przyszło majem,

z koroną olch nad jasną wodą,
z szumiącą na pagórku sosną,
z błękitnem kwieciem nad ruczajem,
z miłością przyszło wiecznie młodą
i z roześmianą w świat nadzieją...
Przyszło — słonecznym błysło rajem
i wrota niebios mi otwarło...
Lecz cyt! na ustach słowa mdleją,
nie mówmy o tem, co umarło...

. . . .

Umiera młodo, co jest piękne,
zapłonie, jako błyskawica
i gaśnie... Przed mogiłą klęknę,
ale nie skryję trwożnie lica
tym błyskom, ani się przelęknę
ognistych łun, co swą czerwienią
tak cudnie przeszłość mą płomienią.
Przez ból jam to wywalczył prawo,
by ócz nie spuszczać mych przed nikim,
i duszę czystą, chociaż krwawą
osłaniać przed świętoszków wrzawą,
przed ich wężowym sykiem.
Ja wiem, że mam samotnym zostać
wśród zimnych serc, w pręgierza cieniu,
gdzie mię szyderstwo będzie chłostać.
Ja wiem — źrenicą spojrzę twardą
milczenia im odpowiem wzgardą,
i zamknę się w milczeniu...

Oto przychodzi życia jesień,
koniec porywów i uniesień,
lecz ponad świeżą ich mogiłą
serce wciąż o tem śni, co — było...

. . . .

Jesiennych dni uśmiechy zadumane
w perlistych rosach kryją twarz bladawą
i sypią martwych liści strugę rdzawą
klonowe gaje, zwarte w złotą ścianę,
Jesiennych dni błękity, zasłuchane
w poszumy dębów nad minioną sławą
z omglonej dali niosą cichość senną
jak morska toń bezdenną...

Jesiennych dni melancholijną ciszą
oddycha świat — i nic jej nie zamąca.
Kasztanów liście jak zastygłe wiszą,
a gdy je zefir skrzydłem lekko trąca,
przez chwilę w słońcu jasne się kołyszą,
jak wielkich kwiatów roztęcz gorejąca,
i lecą w dół, i zaściełają trawę
szeleszcząc pożegnania łzawe.

O, bladych dni jesiennych mgławe dale
ostatnią słońca muskane pieszczotą,
co tak różowi mleczne chmur opale!
O pożegnalnie rozświecone złoto
na modrem niebie lśniące tak wspaniale!

O wy, bolesną owiane tęsknotą
zadumań i rozmarzeń lubych dreszcze
przed zimy tchem — nie gińcie jeszcze!

Z północy wicher spędzi czarne chmury
i zgasi blasków grę i wylęknioną
ogarnie ziemię w całun swój ponury,
i śniegiem jej zmartwiałe chłoszcząc łono
rozwieje te korale i purpury,
z kras wszystkich odrze jesień uśmiechnioną...

. . . .

Lecz nim nadciągną widma te złowieszcze
świeć mi, jesieni złota, świeć mi jeszcze!

Choć chwilę świeć—bo w gęste mroki płynie
ma łódź, w nieznanej nocy płynie dal.
Ostatni ślad gasnącej zorzy ginie
a w sercu tęskny, głuchy wstaje żal...
Bez echa suną wiosła po głębinie
nie mącąc snu ukołysanych fal,
i nie wiem dokąd moja łódka płynie,
i co w swych mętach kryje nocna dal...

Był dzień promienny, lazurowy, złoty,
świetliście skrzydła w słońcu wodna toń,
ciepłego wiatru swawolne poloty
upojną niosły traw i kwiatów woń,
i świat tak piękny był, że ramion sploty

sprągnione, same zrywały się doń,
aby zatrzymać dłużej ów dzień złoty,
i słońca jasność i błękitów toń.

Lecz przyszedł zmierzch — czerwona
[tarcza słońca
spłynęła na zachodzie strugą krwi
i zgasła... Wszystko chłonie gęstniejąca
pomroka... Na zamarłych falach drży
odblask dalekich ogni i roztrąca
ponurą ciemnię, złote krzesząc skry
i kona, jak ostatni uśmiech słońca,
niknący rubinową kroplą krwi...

Wśród ciemnej nocy łódź zbłąkana płynie
unosi mię w nieznaną, ciemną dal,
i nie wiem już, kiedy ta noc przeminie,
i jak mam długo być igraszką fal
w obłędnych, bezsłonecznych snów krainie,
wpatrzony trwożnie w tajemniczą dal...

. . . .

W bezdenne mroki łódka moja płynie,
a w duszy wciąż za słońcem rośnie żal...

VI

Świteź

Ponad Świtezią wicher przelata,
bije o brzegi spienioną falą,
i nad pochmurną srożąc się dalą
gna bez wytchnienia tam, za kraj świata,
gdzie blade słońce w ciężkiej oponie
chmur ołowianych bez zorzy kona...

Gęstnieją mroki, ciemnieją tonie,
wieczór mdlejące kładzie ramiona
na strunach wichru, i drży, i płacze...
Między bezlistnych, nagich konarów
plączą się echem smętnych pogwarów
skargi bezdomne, skargi tułacze
na te pustynne brzegów oploty,
odarte z dawnej krasy i wdzięku,
wśród zmierzchowego snujące lęku
pieśń beznadziejnej tęsknoty...

Wichrze ponury! Zagasłe słońce!
Brzegi osnute czernią żałoby!
Dęby, listowiem martwem szumiące!
O, pohańbione przeszłości groby!..
Gdzie owe czasy, gdy na świat cały
wyście swe hymny radośne słały,

kiedy młodzieńczej blaskiem urody
tęczowo grały Świtezi wody,
gdy z białych lilji plotąc równianki
w trzcinach wabiły się Świtezianki,
i baśni gminnej czarowna złuda
swe różnowzore tworzyła cuda . . .

Minęło wszystko... Wraz z matek łzami,
z krwią bohaterów spłynęły fale
w otchłań zniszczenia . . . Dzisiaj resztkami
wód zubożałych miota zuchwale
wicher i, burząc jezioro do dna
odkrywa bagno grzązkie i czarne . . .
Dziś Świteź dawnej sławy niegodna,
— dziś — to pustkowie cmentarne . . .

Świtezi! los twój dzielimy z tobą
my, którym serce w hańbie się kruszy,
my, pogrobowców smętni żałobą;
tobie ubywa wody, nam — duszy.
Twoje przezrocze wsiąkają strugi
w pustkę wyciętych pobrzeżnych kniei,
my krwią serdeczną znaczymy ślady,
któremi do niechybnej zagłady
dążym w bezsile i beznadziei,
my — chleba przedajne sługi.

Dopóki chwilę słońce nam świeci,
błyszczymy złudną jego pozłotą,

lecz gdy wichura wroga nadleci,
zagasi słońce, dziko zawyje
i duszą wstrząśnie — na dnie, jak żmiję
ukaże — próchno i błoto . . .

. . . .

Ponad Świtezią wicher przelata
wzburzoną falą bije złowrogo,
wodami groza władnie skrzydlata,
noc wieje mrokiem i trwogą . . .

. . . .

Na Płużyńskich uroczyskach
po jałowych karczowiskach
anemiczne rośnie zboże,
(żyd je zbiera, choć chłop orze).
Tak jest dzisiaj. W dawne czasy
piękne tu szumiały lasy,
liczne tu bielały dwory,
a zniknięcia ich przyczyna,
że do handlu szlachcic skory,
więc żyd płaci, a chłop ścina.
Tak bywało u nas wszędzie,
tak też pewnie zawsze będzie.
Trudno. Podług pieśni wzoru
stańmy w tej klasycznej stronie,
i, strzymawszy nasze konie,
jak wieszcz każe, pośród boru
przypatrujmy się jezioru.

Ładne to być może zdala,
ale zblizka czar wnet pryska,
gdy od „królewskiej kąpieli“
krzywy parkan cię oddzieli
i zamknięta szczelnie brama,
i postać żyda - nosala,
lub surdutowego chama,
pytających z wielką swadą:
„czto wam nado?“

„Ach, przepraszam!“ Kłaniasz nizko...
Nieprzyjemne widowisko!
Wzięli djabli wszelkie ślady
wymarzonej twej ballady,
miast ondyny, lub najady
tkwi popowicz lub żydzisko.
Zamiast tajemniczych borów —
nędza piachów i ugorów,
i „kultura“ siłę swoją
wykazuje namacalnie,
czyniąc z lasu — jedną drwalnię.
Brzeg doszczętnie wyrąbany,
powalone, w „sążniach“ stoją
stare dęby conajgrubsze,
i, w ostatnią zieleń strojne,
na rzeź idą, jak barany.
Bo „kultura“ gdy się uprze,
by tradycji wydać wojnę,
wykarczować wszystko zdoła,

i miast dworu, krzyża, sioła
wśród wiekowych brzóz i topól
stawia — „daczę" lub „monopol".

Jedna tylko jest kryjówka,
gdzie się cień tradycji chowa
przed pogromem — to majówka.
Najkwiecistszych rymów słowa
opowiedzieć nie są w stanie
czem świtezka jest majówka.
Pośród dębów, na polanie,
w ocalałym jeszcze lasku
w takt mazura lecą pary.
(Służba dmucha w samowary).
Prowadzący w siódmym pocie
rwie z darniny tuman piasku,
i wpadając w szał morderczy,
z krzykiem miota się po lesie.
(Dziatwa czyha na łakocie,
na patelniach masło skwierczy).

Zapomniane w tym rwetesie,
mamy, ciocie poziewają,
obsiadając senną zgrają
krzywe stoły i plotkują
powolutku, pocichutku
o zdarzeniach w Nowogródku.

Ze starszyzny zaś panowie
apatycznie piją „zdrowie",

na brak deszczu utyskują,
i na Fejgę z Horodyszcza
słusznie i nudnie się skarżą,
że lichwą szlachtę wyniszcza.
Ach, cudna to rzecz — majówka
u kolebki Mickiewicza!

W przerwach między tańców szarżą
srogim potem lśnią oblicza,
z ust padają czułe słówka,
bo zdyszaną młódź zachwyca
poetyczny blask księżyca,
co tuż żółtą wschodzi twarzą;
romantycznie pary gwarzą,
a rozmowie tła użycza
w górnolotnym wręcz sposobie
niepokojonego w grobie
pamięć tegoż Mickiewicza.

Za godziną tak godzina
mija, wschód szarzeć zaczyna,
wkoło gęste chłopstwa mrowie
gapi się głowa przy głowie,
furmani trzaskają z bicza . . .
I do rana trwa zabawa,
flirt, ziewanie, tańce, wrzawa,
wodzireja wykrzykniki
w rzępolącej takt muzyki,
— wszystko na cześć Mickiewicza . . .

Wreszcie koniec. Więc z powrotem
ładują się „fajetony“,
zatłoczony, zapylony
grzmi gościniec kół turkotem.
Wraca szlachta późno zrana,
kryjąc w burki swe oblicza,
sapie, chrapie, rozespana...
(pewnie przyśni Mickiewicza).

. . . .

A za nimi — po wilgotnych
łąkach mgły falami wstają,
i pomiędzy brzóz samotnych
zwiewne smugi rozplatają;
rozłożyste, sfalowane,
płyną mgły, jak białe morza,
zatapiają drzew podnoża,
łąk niziny, łanów zbocza,
i unoszą srebrną pianę
w świtających zórz przezrocza...

A za nimi — przez mgły wstęgi
przeświecają złote strzały
i, muskając śpiące łęgi,
w toń jeziora zróżowioną
godzą... Pełne wpółomdlałej
ciszy, drzew wierzchołki płoną
jak pochodnie — i czerwono

powtarza je wód odbicie
w swym blękicie.

Stoją dęby nad jeziorem,
nad zacichłą stoją wodą,
i z szuwarów rozhoworem
tajemnicze szepty wiodą.
Jak obronne czatowiska
strzegą brzegów — i wybłyska
kolorami szyba wodna
ku ich szczytom — i świecąca,
jasną piersią brzegi trąca,
w pył tęczowy się rozpryska,
i do nóg im wdzięcznie ściele
białe lilje i grążele,
i przeziera złotem do dna . . .

A w oddali, na dnie fali
tajnym ogniem coś się pali,
coś rozzłaca sine tonie
i djamentem się krysztali;
to w koronie skier zapłonie,
to znów ginie na głębinie
i przez modre topieliska
mgławą gwiazdą błyska . . .

To jeziora skarb zaklęty,
to dalekich czar stuleci,
pełny blasku i ponęty
tak się świeci.

To runami ognistemi
wypisany los tej ziemi,
jakieś szczęścia klucze złote
zatopione w te odmęty
przed wiekami, i kryjące
w sobie wszystkich serc tęsknotę,
umiłowań wszystkich słońce,
przeznaczenia ciemne karty
i zbawienia świty . . .

Tego skarbu zaklętego,
co w Świtezi sercu skryty,
niezmrużone dębów warty
czujnie strzegą.
Opasane czarną zbroją
jak rycerne straże wierne
szykiem częstym, hufem gęstym
dniem i nocą one stoją,
i kolisko wód niezmierne
nakrywają skrzydeł chrzęstem,
i listowia gędźbą wieszczą
jasną falę pieszczą . . .

. . . .

Dęby święte! W was ojcowie
czcili bóstwo utajone
piękna i wszechmocy życia.
Wam płomiennych łun czerwone

nieśli dary, waszej głowie
niebosiężnej z puszcz ukrycia
uwielbienia słali modły
i pokłony kornej wiary!
Wam żywiczne cięli jodły
na zniczowy stos ognisty
i męczeńskiej krwi ofiary,
kraśny, żywy deszcz korali
razem z dźwięcznych strun lutnisty
płaczem do stóp wam rzucali!

Dęby wieczne, nad błękitem
wód świtezkich zadumane!
W was i dzisiaj żywie piękno
tajemnicze, nienazwane
cuda, przed któremi klękną
ziemskie moce i, rozbitem
legną mrowiem, pokonanem,
waszych czarów talizmanem!

O królewskie, o mocarne
zaświatowych puszcz zjawiska!
Ja się do was w prochu garnę
rozpostarty, waszą chwałę
głosić ledwie usta śmieją!
Ponad ludzkie rojowiska
nad ich leże strupieszałe
do was tęskne wiodę oczy . . .
Wy — zbawienia mi nadzieją,

w wasze wieczne piękno wierzę,
którem świecą i goreją
wszystkie duchy, którem kroczy
życie w wieczność... Wam pacierze
szepcę korne, w was wyznawam
piękna z duchem nierozdzielność,
i świadectwo prawdzie dawam:
wierzę w waszą nieśmiertelność!

VII

Zamek mirski

Po Świtezi — Miratycze
poznać trzeba i Worończę,
Płużyny, Tuhanowicze,
Siohdę, Rajcę, Nowogródek . . .
Wszystko — cuda malownicze,
do zachwytów moc pobudek.
Lecz pozwólcie, że tu skończę
i piękności nie wyliczę
wielu, którym się przyglądać
warto, jeśli wśród terminów
wojny coś tam pozostało
oprócz gruzów i kominów.

Próżnoby odemnie żądać
krajoznawstwa — chcę malować,
chcę się barw paletą całą
bawić, chcę się rozkoszować
wonią wspomnień, — chcę mieć skrzydła
i siedmiomilowe buty,
a nie mapy i marszruty.
Komu zaś od baniek tęczy
milsze szare krople mydła,
komu jeszcze nie obrzydła
ścisłość — znajdzie jej bez liku
w geograficznym słowniku.

Póki w nim uczenie ślęczy
i kichaniem płoszy mole,
ja na wschód podążyć wolę.
Do niemnowej mię rozłogi
poprowadzą płaskie dale
przez piaszczyste drogi.

Tam „miasteczko“ Mir wspaniale
w czarnem błocie się rozsiadło
i hoduje od stuleci
dziury w dachach, kupy śmieci
i żydowską brać zajadłą,
słynąc przytem ze swych garnków,
z płótna, skórek i — jarmarków.

Miński kiermasz! Wszak to cuda!
Komuż się opisać uda
owe festy w dzień Mikoły
pośród błota czarnej smoły,
i stworzenia owe różne
cztero- i dwunożne!
Te pstrokate, gniade, płowe,
cielne, mleczne i jałowe,
i te czarne, i brodate,
śniade, ryże i kudłate,
ten ryczący żywioł wszelki,
ten cuchnący rynek wielki!..

Kto ze szlachty nie pamięta
tego dorocznego święta,

tych rozkosznych chwil, spędzonych
w czarnej tłuszczy bród, chałatów,
w zawierusze lejców, batów,
połajanek, dyszlów trzasku,
targów, swarów, kwiku, wrzasku,
wśród faktorów uniżonych,
Hirszów, Srulów chyżonogich,
pośród Hryszków i Ściepanów,
postrojonych w biel kożuchów,
wśród siermiężnych „mościpanów“,
maciejówek, wąsów srogich,
i szlacheckich tęgich brzuchów!

Któż zapomnieć byłby w stanie
te stodoły i poddasza,
rozkrzyczane chmurą wróbli,
co się hałaśliwie wprasza
do żydowskiej gospodarki;
te „zajazdy“, niczem garnki
kotłujące nieustannie;
te „numery“ po pięć rubli
z nieodłączną pluskwą w ścianie,
te oślizgłe korytarze,
uwędzone w dymu chmarze;
a w nich gwałt żydowskich sporów,
cebulowych swąd fetorów,
i smarkatych wrzask bachorów!..

Te gawędy u „Motela“,
lub w obskurnej „Trusa“ norze,

gdzie fontanną piwo strzela,
gdzie zabawia się jak może
szlachta, trąbiąc cienkie wina
domorosłe od „Lewina“,
chwali się, łże jak najęta,
i, cokolwiek już urżnięta,
tęgo zrywa się w karcięta.

Skąd wracają już nadedniem
każdy do swej magnifiki,
należycie uraczeni
tym festynem niepowszednim,
z kulawą szkapą u bryki
i przykrą pustką w kieszeni...

. . . .

O poczerniałe mury Horodyszcza,
Mira, Korelicz, Stołpców, Nowogródka!
Jakichże haftów fantazja nie utka,
wskrzeszając dzisiaj w myśli — wasze zgliszcza,
te popalone lipowe dworzyszcza,
których wspomnienie lśni, jak niezabudka,
i zaciągając szarzyznę błękitem
kolorów szkliwem nęci rozmaitem!

Najrzewniejszemi słowy nie wypowiem,
jak ja was lubię, mieściny odludne,
co nad rodzinnych piachów gdzieś pustkowiem
zwijacie waszych gniazd śmietniki brudne,

gęsto czernione żydowinów mrowiem,
i, poprzez bruków wyboje paskudne,
przez morza błota przy ulic rozstaju
do rynku prowadzicie, jak do raju.

Do tego rynku, w którym psy i świnie
zgodnie się troszczą o publiczne zdrowie,
gdzie środkiem placu niedwuznacznie płynie
coś, czego żadna Muza nie opowie;
gdzie stare Chajki o czarownic minie
z atłasowemi peruki na głowie,
ręce swe ciągłym zatrudniają gestem,
i, dłubiąc w nosie, handlują agrestem.

Gdzie przy aptece obok zegarmistrza,
w „żelaznej kramie“ gruby, rudy Szloma,
(największa w mieście władza niewidoma,
darzona łaską samego pocztmistrza),
wsparł się na ladzie krótkiemi rękoma,
których powłoka wcale nienajczystsza,
i, świadcząc kredyt szlacheckiej czeredzie,
sprzedaje chamom za gotówkę śledzie.

Miasteczka miłe! oazy wytchnienia!
stacje popasu w długiej drodze końmi!
Pstrociznę waszą śmieszną opromienia
dalekość, w której szukam zapomnienia,
zmęczone oczy zakrywając dłońmi...
O stań na chwilę, czasie, i nie broń mi

w takiej mieściny zapuszczonem gnieździe
dawnym zwyczajem odpocząć w zajeździe!

Jak ja go widzę! Bokiem do ulicy,
zezując gniewnie na kałuże błota,
stoi rudery front czerwonolicy,
a szczytów dziwna ciesielska robota
i dach podobnym go czynią bóżnicy.
Obok roztwiera przepaściste wrota
krzywa stodoła, co z karczmą zlepiona
do gościnnego wszystkich wprasza łona.

Ogromna, stara, drewniana budowa
dziurami wszędzie prześwieca, by sito,
i jak Noego arka potopowa
mieści we środku rzeszę rozmaitą
stworzeń i liczne ciekawości chowa,
których tajniki łacnoby wykryto,
gdyby odważył się ktoś razem ze mną
wkroczyć w otwartej bramy grotę ciemną.

Nakształt błękitnej firmamentu głębi
sklepienie jej wysoko się rozpiętrza,
i gwiazd tysiącem przebłyskują wnętrza,
i strzelistemi smugi kurz się kłębi.
W onych regjónach przebywa najmędrsza
brać lekkoskrzydła wróbli i gołębi,
co naśladując karczmy właścicieli,
nie sieje, ani żnie, lecz — plony dzieli.

A kiedy ono zabłyśnie rzeszoto
starego dachu od słońca promienia,
wnet strzelą pyłków tęczowe jaśnienia
i strugą leje się na ziemię złoto,
i srebrzy się gołębi lot... I oto
stajnia w jasełka betlejskie zmienia,
i czekasz, rychło w glorji się ukażą
anioły boże z promienistą twarzą,

i zaśpiewają w wysokościach chwałę,
i zstąpią zbrojne siedmiobarwną tęczą,
a po jej kręgach gołębice białe
spłyną, jak duchy, skrzydłami uwieńczą
w żłobku dzieciątko uśmiechnięte małe,
i wszystkie stwory w modłach się rozjęczą,
i stanie chata, jak harfa grająca
złota, w przemianie cudotwórczej słońca.

Skryje się słońce — i scena się zmieni
na holenderskie stare malowidło:
gospoda pełna kolorowych cieni
śmieje się ptaków rzeszą białoskrzydłą,
a niżej, między żłobów się rumieni
gniademi plamy flegmatyczne bydło
i stary kozioł, trzęsąc kudłów grzywą
zaszczyca konie swoją komitywą.

Na ziemi kaczek ciżba gospodarna
z wróblami wiodąc nieustanne spory,
myszkuje w słomie i podbiera ziarna.

Ów zaś złodziejski ród, do bitki skory
głuszy je wrzaskiem, i jak chmura czarna
wraz z łupem śmiga w poddasza otwory,
dworując sobie nad głupotą kaczą;
a te, zgorszone, głośnym chórem gdaczą.

Kosmaty Burek, pochrapując głucho,
z mordą na łapach obojętnie drzemie,
i tylko czasem rozprawi się z muchą,
co mu po nosie łazi ... Skoczne plemię
królicze, w trzodę zbite białopuchą
żeruje, śniegiem uścielając ziemię,
i zaczajony kot, na belki zrębie
udając senność, zerka na gołębie.

Pan tego świata, Abram albo Icko,
śpiesząc do gości przejdzie tędy szybko,
a mimochodem czegoś tam pod mycką
szuka, wojując z świerzbiącą wysypką,
co nazwę polską ma, a treść — semicką.
Już znikł za drzwiami, i tam cienką chrypką
pędza bachory i rzuca rozkazy,
(a chłopom znaczy kredką — po dwa razy).

Lecz oto w żłobach zjedzone obroki
i z końmi głośno rozprawia woźnica,
dzwonią podkówy, niecierpliwe zwłoki ...
Czas w drogę ... Myśli nagłej błyskawica
przeszyje ciszę, nęcąc w świat szeroki
i obietnicą czarowną zachwyca

i każe wszystko, co blizkie, poniechać
i znów daleko, daleko znów jechać...

Więc kiedy wreszcie skwar popołudniowy
spadnie, i wietrzyk rzeźwiejszy powionie,
i stanie zaprząg do drogi gotowy,
i raźno parskną wypoczęte konie,
i zgięty karczmarz koszlawemi słowy
w swej rzetelności przemawia obronie,
wtedy — na konie! Bywaj zdrów, zajeździe!
Droga ma wiedzie ku dalekiej gwieździe...

Fantazja — imię mej gwiazdy wybranki,
a jej ojczyzną — luby kraj marzenia,
niemożliwości cudnych niespodzianki,
przygody spotkań, oczu zachwycenia;
wszystko, co życia bladość rozrumienia
i rozbłękitnia, jak uśmiech kochanki,
wszystko, co twarzą beztroską jaśnieje
i szczęścia złudną rozbudza nadzieję.

Za moją gwiazdą przez piasków pustynie
pójdę, gdzie smętnych sosen drogowskazy
szumią, gdzie poprzez martwe krajobrazy
droga jałowców bezgraniczem płynie,
gdzie mirażami kwitnące oazy
wdzięczą się, wabią i baśni dziedzinie
swe wymarzone otwierają wrota,
które tak cudnie maluje tęsknota.

Podążę szlakiem odludnym i głuchym,
który spopiela bezlitośne słońce,
mimo wrzosowych wzgórz, co w dal łańcuchem
uchodzą długim hen, za nieba końce
i, sfalowane za wiatru podmuchem
piętrzą swe szczyty, kurzawą dymiące,
jak ofiarnemi uścielona droga
kadzielnicami na cześć słońca - boga.

Przez te pustynie pójdę nieznużenie,
wpatrzony w gwiazdę nadziei radosną
i wolą w cudną rzeczywistość zmienię
widma tych oaz, co gdzieś bujne rosną,
załamujące się w tęczowe lśnienia,
wypromienione miłością i wiosną.
Będę je gonił pragnieniem tajemnem
za czernią lasów nad błękitnym Niemnem,

albo gdzieś dalej... dalej... ach, ja nie wiem,
gdzie mię poniesie ta żądza namiętna,
co niewygasłem pali się zarzewiem,
czasem ognista, a czasem tak smętna,
jako odwiecznych sosen starodrzewiem
rozkołysane nieukojne tętna.
Niewiem ku jakiej los mię rzuci stronie,
lecz rwę się w dal, a serce ogniem płonie.

W tę dal bezmierną lotne mię unoszą
konie; nim stanę za dziesiątą rzeką,
za setną górą — chwytam wiatr z rozkoszą

i tak mej piersi wśród przestworów lekko!..
A mrowia ziemi słów serdecznych proszą,
dlatego właśnie, żem od nich daleko,
że kiedy zechcę, porzucić je mogę...
Hej! konie moje skrzydlate, hej, w drogę!

. . . .

Lecz nim rzucić nam wypadnie
Mir, dla dalszej w świat wyprawy,
byłoby może nieładnie
nie pójść dołem, za miasteczko,
gdzie nad spleśniałemi stawy,
ponad młynem, ponad rzeczką,
ujęte w sypane wały
pięciu basztami się wznosi
i o źdźbło uwagi prosi
codziennie przez lat czterysta
zrujnowany, poczerniały
Radziwiłłów zamek stary:

I bez skutku. Nie korzysta
nikt z uroku średniowieczy,
prócz krzykliwych żydziąt chmary,
która dłubie i kaleczy
mury, w swej trzymając pieczy
kult przeszłości, i stanowi,
pośród ruin i pustkowi
tych jedyne okoliczne
ciało archeologiczne.

Więc o zmierzchu, gdy zwaliska
puszczykowym jękną płaczem
od miasteczka suną cienie
i skradają się cichaczem
między ruin, do zamczyska,
nie po nastrój, ni poezję,
(tego w szabas z czosnkiem nie zje),
lecz — po cegłę... Rzekłbyś szczury
gryzą lochów zagłębienie
wietrząc zdobycz... Głuchym echem
ozwą się odwieczne mury
świętokradzką darte dłonią
i zamilkną... tylko z góry
raz po raz złowieszczym śmiechem,
nocnych ptaków głosy dzwonią...

. . . .

A gdy znikną ludzkie cienie,
północ spuszcza swe zasłony
na wieczornych zórz jaśnienie.
Księżyc blado okrążony
mętno z po za chmur bieleje,
i, jak śmierć, niepostrzeżenie
przez zamkowych bram pustkowie
upiorowym skrzydłem wieje
nietoperzy lotne mrowie...

Płyną chmury, lecą chmury,
ławą gna je pęd wichury,
noc jest wietrzna, pełna trwogi...

W fantastycznej chmur pogoni
sunie ciemnych rój postaci;
księżyc, nizko pochylony
bodzie je srebrnemi rogi,
to jaskrawo się wyłoni,
to znów w czerni się zatraci...
Mrok wydłuża chwytne szpony
ramion się splotami wije,
kłębi setne cielska, szyje,
głów panoszy się tysiącem...
Noc zwycięzką toczy wojnę
z księżycowem światłem mrącem,
i jak widm orszaki rojne
lecą chmury niespokojne.

Płyną chmury, pędzą chmury,
zaściełają cieniem mury,
a po basztach przelękniony
chór żałobnych ptaków kracze...
Jak rozkołysane dzwony
z krzykiem lecą kruki, wrony,
a puszczyka jęk w pomroce
to jak dziecko się rozpłacze,
to szatańsko zachichoce...

Od zagasłych zórz krawędzi
chyżem stadem mkną chmurzyska,
wiatr je gania precz przed siebie,
to je stłoczy, to rozpędzi
na błękitne gwiazd pastwiska

jak płochliwe białe owce...
Znów na wyjaśnionom niebie
złoci księżyc chmur pokrowce
i falisto się kolebie,
po niebiosów płynąc morzu,
niby łódź ogromna, nizka,
zabłąkana w wód bezdrożu...

Za nim suną by okręty
uciszone chmurki białe,
każda jasną pianą tryska,
każda żagiel ma rozpięty
i srebrzyste piersi całe.
Płyną wolno i miarowo
przez głębinę szafirową
napowietrznych łodzi stadła;
jak lecące w noc łabędzie
w wyciągniętym płyną rzędzie
i znikają, by widziadła...

Wiatr uderzy — i za chwilę
skłębi znowu chmur flotyle;
rzuci na nie z siłą wściekłą
gęstych mroków całe piekło,
i znów strach i grozę ciska
w czarną głąb zamczyska...

O północnej duchów porze
tajemnicze władną moce.
Zamek na śmiertelne łoże

snów potwornych powalony
beznadziejnie się szamoce
drży, i głosem wielkim wzywa
wzwyż — ku niebu — na wsze strony . . .
Poprzez łuki i sklepienia
idzie gromem przerażenia,
idzie duszę rwącym krzykiem
buntownicza, rozpaczliwa,
straszna skarga w dal!
Skarga w pustkę — w noc — przed nikim —
przypomnienie czasów sławnych,
echa wieków starodawnych,
sędziwego starca żal,
co w świetności zmarłej grobie
w pohańbieniu i żałobie
obudził się — niewolnikiem . . .

. . . .

Coraz mroczniej noc zapada,
a w niej woła echo: biada!
Wielogłosy, czarnopióry
ponad zamkiem huczy dzwon.
Od krzesanej w skale ściany
od podniebnych baszt ogromu
wichrem wzbija się pod chmury
rozszalały, rozpętany
ostatniego sądu dzwon;

rykiem burzy, hukiem gromu
dzwoni, dzwoni ze wszech stron:
— Idzie koniec! idzie zgon!

. . . .

Oto gruzów lecą zwały,
baszt padają dumne szczyty,
rozpętane drżą granity,
co ojczyzny skon przetrwały...
Wszystko wali się, zapada
w przepaścistą trwogi noc,
zamek drży w posadach cały,
wszechzniszczenia wstaje moc...
Wyszczerzona, trupio blada
śmierć szyderczym śmiechem zionie,
na ruinach, jak na tronie
tryumfalnie się rozsiada,
i w przedzgonnych mąk rozterce
zamku pęka serce...

. . . .

A nad zamkiem grzmi wciąż dzwon
upiorowych ptaków jęk,
czarnoskrzydły wieje lęk,
starych grzechów niesie plon:
w hańbie — zgon...

VIII

Za Niemen!

Po za Mirem — ziemia inna,
kraj piaszczysty, dal pustynna . . .
Przez jałowców dzikie pola
głodna błąka się niedola,
rzadkim, bladym rżyska smugiem
za drewnianym ciągnie pługiem
i ugorów nędzę złoci
mchów dywanem i paproci
pośród których, jak ogniki
błędne, lśnią nieśmiertelniki . . .

Jałowcami, równinami
ku Niemnowi droga płynie
żółtym szlakiem. Za kołami
szklisto sypki piach szeleści,
mierząc wolno czas uśpiony . . .
Jaka cisza! Płynie, ginie
myśl i wzrok na wszystkie strony
w dal bez końca, w dal bez treści . . .

Jaka pustka martwolica! . .
Serce ściska żal-tęsknica
za daleką życia twarzą;
sercu wśród tych pól odludnych
różne się obrazy marzą

mirażami barw ułudnych,
i ten jeden obraz miły,
ten najmilszy, ten jedyny...

Jak samotno! Te równiny
obyż prędzej prowadziły
tam, gdzie życie, gwar, wesele,
gdzie czekają przyjaciele,
gdzie się okna jasno świecą,
skąd radośne krzyki lecą
jadącemu na spotkanie...
Skąd milczące powitanie,
uśmiech jasny, błysk uroczy
wśród jaśminów, przez okienko
poślą czyjeś drogie oczy
przysłonione białą ręką...

Myśl ten obraz tęsknie pieści...
koła dzwonią... żwir szeleści...
W monotonnym szklanym dzwonie
słychać jakąś pieśń miarową,
taką smętną, taką długą,
jak ta droga, jak te konie,
co się piaskiem ledwie wleką
ze spuszczoną nudnie głową...

Wieczór... zachód wielką smugą
rozgorzał się purpurową,
gdzieś za borem, gdzieś za rzeką
rozpłomienił oddal siną...

Niecierpliwe myśli płyną...
Naprzód! hej! już niedaleko!
w oczach most majaczy, rzeka,
rzędy brzóz... W tej lubej stronie,
gdzie wieczorna zorza płonie,
tam — ktoś może czeka...

Za tym borem! Tam, gdzie sosny
śpiew poważny i żałosny
konarami szumią wzwyż,
za gościńcem, tam, na skraju
u polanki, przy rozstaju
chyli się omszony krzyż...
Pod nim — jakaś postać biała...
Ogniem serce i twarz pała...
Serce, czemu drżysz?..

. . . .

. . . .

Za Niemen!..
Za Niemen się dusza wyrywa,
i w kraj obiecany ulata szczęśliwa...
Za Niemen! Tam gdzie się poczyna
marzenia cudowna dziedzina!

Tam borów tajemne czernieją gęszczary,
błędnemi ogniami tam kwitną moczary,
szeleszczą krynice dzwonkami srebrnemi
i echy dziwnemi roztętnia pierś ziemi,

i wszystko tam baśni zaklęciem rozbrzmiewa
i niebo, i ziemia, i wody, i drzewa,
i puszcza, co gwarzy i śpiewa...

Tam mchy są z bursztynu, jagody z korali,
perlistą kurzawą się rosa kryształi,
tam stroją się kwiaty w gorące szkarłaty,
w fjoletów przepychy, w marzące bławaty,
i w tęcze omdlałych opali.

Tam dziecka oczami szklą się niezabudki,
i szczęśnie bieleją wróżebne stokrocie,
i chylą paprocie wachlarzy swych krocie
ku wrzosom liljowym w swawolnej pieszczocie,
gdy wietrzyk powionie leciutki...

Tam grzybów rumieńce, jak rdzawe
[czerwieńce
z borówek rubinem splatają się w wieńce,
i smugła dziewanna wykwita, by panna
ubrana w przedślubne powaby dziewczęce,
i wdzięczy się, rada złocistej sukience,
i drży na niej rosa poranna.

Tam niebo roztwiera nad lasem swe wrota
błękitne, i słońce pożogą wybucha,
i nakształt świetnego klejnotów łańcucha
promienną roztęczą po trawach migota
i sypie garściami deszcz złota.

Tam sosen ulica, jak jedna gromnica
dymiące, kadzielne rozwłóczy swe wonie,
i srebrnem łzawieniem kapiąca żywica
zbielałe od żaru powietrze nasyca,
i pachnie, i świeci, i płonie...

Tam wszystko się śmieje i wszystko weseli,
w słonecznej zgorzeli pomyka rój pszczeli,
wiewiórki śmigają kitami rdzawemi,
kukułki i wilgi jasnemi prześmiechy
sprzeczają się w szale porannej uciechy...
Las wabi się z niemi echami głośnemi
do wtóru brzęczącej owadów kapeli,
i biali radują się w niebie anieli,
że raj jest gdzieśkolwiek na ziemi...

A czasem, z ciemnego tych drzew
[uroczyska
w zielonej otchłani coś mgłą się tumani
i dziwem zjawiska biel jakaś wybłyska
dzierzgana promieńmi różowych zarani
i słońce świetlaniej roztęcza się na niej...
— to puszczy królowa i pani...

Gdy z gąszczu wypada, jak leśna dryada,
jak ciche błyśnięcie srebrnego anioła,
wnet wszystko dokoła pochyla swe czoła,
i kwiaty, i zioła, i ptaki, i drzewa,
i wszystko bogini do kolan przypada,

i w hołdzie zachwytu swe krasy jej składa,
i woła, i dzwoni, i śpiewa...

. . . .

Ułudy czarowny roztacza się kraj
i nęci zapomnień pieszczotą...
O myśli znużona — w tę baśń szczerozłotą
rojeniem skrzydlatem utonąć mi daj,
w to słońce, — w tę puszczę — w ten raj...

. . . .

Zasłaniam oczy, przymykam powieki,
i codzienności widmo szare ginie...
W tej objawienia wyśnionej godzinie
jak cichy pielgrzym do bram świętej Mekki
oczyma duszy płynę w kraj daleki,
w kraj taki piękny, jak sennej dzieciny
dumki niewinne, a taki jedyny,
jak ukochanej ramiona dziewczyny...

Od sosen szumu niechaj się zaczyna
ta pieśń, niech budzi po leśnej gęstwinie
tysiace ech... A każde przypomina
o tej rozśmianej do słońca dolinie,
kędy się rzeka lubieżnie wygina
i modrą wstęgą w dal kwiecistą płynie.
Suło! lat młodych moich wierna rzeko!
jakżeś ty teraz odemnie daleko!

Widzę tę groblę i most wyniesiony
nad wiklin kępy — obok wierzby krzywe
rosochatemi się plączą ramiony
i z wiatrem chylą skołtunioną grzywę
jak czarownice stare, a swarliwe,
co kłócąc się o swoich guseł plony
brzegami drogi, marudną koleją
jedna za drugą kroczą i kuleją

I wioskę widzę na pagórka skłonie,
a za nią ciemny bór sosnowy stoi,
poważny, jak prastary król na tronie,
wyniosły, jako rycerz w czarnej zbroi...
Stąd droga prosto wiedzie w to ustronie,
gdzie lecą myśli, gdzie są wszyscy moi...
Piaszczysta droga, taka sercu znana
droga do domu, ta droga kochana!..

O grajcie mi, gromady sosen szumne
odwieczną pieśń pod starych krzyżów strażą,
gdzie polny kwiat zapadłą pieści trumnę,
gdzie każdy głaz spogląda druha twarzą,
gdzie kraśne głogi, wieńcząc groby tłumne,
ze zwaliskami prochów cicho gwarzą!
O graj mi życia pieśń — umarłych lesie!
O graj tę pieśń! niech znów mię w słońce niesie!

Ja słońca chcę... Na grobach róże rosną
i kwitnąc się nie boją w zórz purpurze,
i w srebrne dzwonią noce pieśń miłosną...

Wśród mogił tych jam rwał płomienne róże,
i bujnie kwitł słoneczną szczęścia wiosną,
i pił z jej rąk rozkoszy pełne kruże,
i ziemię całą w drżące me ramiona
jam brał i wołał nań — błogosławiona!..

Był taki cmentarz stary — śmierć i życie
splatały się w nim jako bluszczu zwoje;
z pod krzyżów ech prastarych nieukoje
przez gąszcze wonnych ziół szemrały skrycie
i grało słońce na traw aksamicie...
To był nasz cały świat — i w nim nas dwoje,
i jedna myśl, i jedno serca bicie,
i słońca ponad nami jasne zdroje...

I już nie przebrzmi nigdy ten cmentarza
szumiący hejnał, ni to zblednie słońce,
co wtedy słało pieszczoty gorące
od rozżarzonych błękitów ołtarza.
Serce me odtąd wieczyście powtarza
słowa dziękczynne i błogosławiące,
i wieją sosny mar wskrzeszonych tłumem,
a echo wtórzy im konarów szumem...

. . . .

Dawne snują się powieści...
napawają wspomnień wonią...
Monotonnie koła dzwonią,
w koleinach żwir szeleści...

Oto przewóz. Białe piaski
świecą ławicami śniegu,
ponad niemi dworek drzemie
i cerkiewka... Zorzy blaski
mgłą różową stroją ziemię...
Leniwego rzeki biegu
żaden wietrzyk nie przyśpiesza.
W napół wyschłem jej korycie
rozbawionych dzieci rzesza
hałaśliwe stroi figle,
śniade kąpią się bachory,
a zmarszczonych fal kolory
łamią nagich ciał odbicie.
Nieruchomo i zastygle,
by z czerwonej posąg miedzi
u promu przewoźnik siedzi.
Środkiem płynie płyt*) po płycie
wolno, sennie — u szałasa
pod trójnogiem tli ognisko
to się żarzy, to przygasa...

Widmowemi suną ruchy
ciche tratwy, jak zjawiska,
zabłąkane wśród przestworzy,
jak różowe jakieś duchy
z kraju snów idące w zorzy
pożegnalną złotą smugą...

---

*) Tratwa.

Płyną, a za niemi nizko
dym błękitną wlecze strugę...

Niemnie siwy! Ileż razy
za dziecięcych snów kurzawą,
zą przypomnień gazą mętną,
przebłyskały mi obrazy
twoich brzegów! Jak pamiętną,
jak niestartą wstajesz zjawą!
Ileż młodych dum tajemnych,
ileż cudnych snów — daremnych
zabrałeś mi z serca głębi
i uniosłeś gdzieś — w dal ciemną!..

Czemuż dziś nie gwarzysz ze mną
tak, jak dawniej, fal twych szmerem,
które lotny podmuch zębi
w drobne zmarszczki pod ajerem,
kołyszącym się na wietrze...
Czemuż dzisiaj osmętniały
twoje brzegi, czemu bledsze
twoje niebo i powietrze,
i świat wokół cały?..

Aleś ty została, Suło,
dawną... Jedną tylko ciebie
mgłą szarzyzny nie zasnuło
na młodości mej pogrzebie.
Twych mi czarów nie zabrano,
tyś ta sama... Na twej wstędze

ja wciąż snuję nieprzerwaną
lat młodzieńczych barwną przędzę . . .

Żadna rzeka tak nie wstaje
nieprzejrzanem, szumnem morzem
ponad stromych brzegów kraje,
w dal błękitnych widnokręgów,
niosąc wieść o słońcu bożem,
o zwycięzkim życiu . . .
Żadna tak nie kwieci łęgów,
tak nie pieści w zatok skryciu
olch, wznoszących jasne czoła
ponad cichą wodą.
Żadna wabnie tak nie woła
zgubną krasą i urodą,
tak szelestem fal nie śpiewa,
by dziewoja czarnobrewa,
uśmiechnięta zagadkowo,
i kryjąca w sercu na dnie
dla lubego — któż odgadnie:
szczęścia dar, czy boleść nową? . .

Niewiem, co twa głębia kryje,
o jedyna w świecie rzeko,
niewiem, jakich prądów żmije
zdradne wiją się i cieką
twemi nurty w dal tajemną . . .
Czar twój zawsze trwa nademną.
Z twoich dolin, z twoich błoni

jam rwał kwiaty jasnej wiary
w piękno, jam pił z pełnej dłoni
urok twej letejskiej wody,
jam był tobą silny, młody,
i w samotnej mej ustroni
takie cudne tworzył mary!..

Niech twe brzegi wiecznie kwitną,
płyń srebrzyście i błękitno
piękna rzeko...

Tu, przed laty,
w progach swojej nizkiej chaty
śpiewał lirnik nasz wioskowy...
Serdecznemi głosił słowy
to, co dawne, co poczciwe,
staropolskie, zacne, nasze;
karabele i pałasze
rdzawe, krwią niestartą żywe;
serca czyste i ofiarne
pod kapotą szaraczkową,
dole twarde, chleby czarne,
cichą pracę, boże słowo,
dawne chwały i uciechy,
dawne bóle, błędy, grzechy...

Nie królewskim bujał ptakiem,
nie orłowym latał szlakiem
pieśniarz wiejski, — był skowronkiem
pól rodzimych, kwietnym dzwonkiem

nadniemeńskich łąk i gajów,
Dwie miał nuty w sercu swojem,
drżące wiecznym nieukojem:
lirę śpiewną, Litwę świętą,
u krzyżowych dróg — rozstajów
żałobnicę w wdowim kirze.
Gdy mu skarb ojczyzny wzięto,
— skonał, grając na lirze...

. . . .

Z nim umarło — jakże wiele
dawnej krasy i tężyzny...
O, jak bujnie dziś się ściele
chwast wśród martwych niw ojczyzny!
Jak wyżera zbożne ziarno,
co posiane w złą godzinę,
jak rodzajną rolę czarną
zmienia w pustkę i ruinę...

Wszędzie gruzy i zwaliska
zieją śmiercią... Śmierć już blizka
swoje sine, trupie farby
na pobladłą twarz nakłada.
Roztrwonione nasze skarby
na ostatnią idą kartę,
a tej imię jest — zagłada.
Chyląc czoła swe wytarte
ojców grzechy płacą syny
upodleniem, nędzą, lękiem,

wlokąc żywot od ruiny
do mogiły. Wpółotwarte
jej wrzeciądze groźnym szczękiem
wyrok głoszą swój ponury:
Morituri!..

. . . .

O białych dworów wyniosłe kolumny,
nasze kolebki i trumny!
o topolowe strzeliste wieżyce,
nasze pośmiertne gromnice!

O cicha wiosko, zniszczona i pusta,
gdzie szeptem grozy drżą pobladłe usta,
gdzie z kątów echo martwo odpowiada
grobowe „biada“!

O drzewa, które pod toporem giną,
o kwiaty ręką sadzone matczyną,
i pod dziecięcą rozkwitłe pieszczotą!
Skarby pamiątek, pradziadów mogiły,
które brutalne stopy zbezcześciły
i wbiły w błoto!

O wy, gdziekolwiek rzucę wkoło wzrokiem
nad widnokręgu pochmurne krawędzie,
— widzę was, w bólu i wstydzie głębokim,
widzę was wszędzie!

. . . .

I ciebie widzę w oddali zmierzchowej
o domu ojcowy!
Wstajesz przedemną półsennem zjawiskiem
dalekiem, a blizkiem;
jak żywy stoisz przed memi oczyma,
choć ciebie już niema,
choć na twych gruzach dzikiego chwasta
gęstwina porasta...

Twój drogi obraz nawiedza mię codzień
i woła do siebie,
a ja powracam, bezdomny przechodzień
i w zgliszczach twych grzebię,
i przez zasnutą dymami pożogę
odnaleźć nie mogę
miejsca, gdzie było to, co szczęściem było,
a dziś jest — mogiłą...

. . . .

Już nie zadzwonią rzęsiste podkowy
przed twoim gankiem,
i nie zakwitnie wkoło bez liljowy
pachnącym wiankiem;
nie będą nigdy nad tobą szumiały
wysokie topole,
nie będą wichrom wiosennym zwierzały
twą dolę — niedolę...
Nie padnie słońce na tę białą ścianę
w te pokoje jasne,

gdzie wszystko było takie moje, własne
i takie kochane . . .

Twe widmo blade iść za mną w ślad będzie
zawsze i wszędzie,
i jeszcze w moim niepłakanym grobie
śnić będę o tobie,
a póki życia — wspominać cię muszę
tęsknie i boleśnie,
i z jękiem w progi twe wieść moją duszę
na jawie i we śnie . . .

IX

Leśna modlitwa

Litwo! Czemuż by cię kochać
trzeba wprzódy — nienawidzieć,
trzeba niemym bólem szlochać
i radości mgnień się wstydzić?
Czemuż w chwilach, gdy w zachwycie
rozśpiewane woła życie,
zamiast wtórzyć jego pieśni,
trzeba w serca gorzkiej pleśni
z własnych złudzeń krwawo szydzić,
albo tłumiąc głosy przeczuć
nie chcieć myśleć, nie chcieć widzieć,
nie pamiętać, nie czuć?..

Czemu w próżnię obojętną
spada każdy poryw duszy?
czemu rwące życia tętno
martwych piersi nie poruszy?
Czemu w pustkę bezechową
oniemiałe serce kroczy,
czemu ranią każde oczy,
czemu boli — każde słowo?..

. . . .

Tyś mi jedna pozostała
blizką, ziemio. Ach, ty jedna,

rozedrgana echem cała,
mówisz do mnie, mówisz ze dna
głębin twych tysiącem głosów . , .

Mówisz dalą twych niebiosów
pozłocistą i błękitną,
wonią łąk, co jasno kwitną,
ciszą pól, szelestem kłosów,
mówisz sinem bezgraniczem
borów, które wicher pieści,
szumiąc smętne opowieści
o twym losie pokutniczym . . .

Mówisz do mnie, jak ta matka
dobra, wierna do ostatka,
i w nieszczęściu, i w rozłące;
mówisz słowa kochające,
takiej pełne świętej ciszy
i powagi, i słodyczy,
że przez wszystkie skargi łzawe
i brzęk kajdan niewolniczy,
przez tę nienawiści wrzawę,
którą świat obłędnie dyszy,
poprzez zmory snów najkrwawsze,
serce moje ciebie słyszy
ziemio — zawsze . . .

. . . .

. . . .

W drogę! Jazda w świat szeroki,
mil dwadzieścia jazda końmi!
Tumanami pod obłoki
leci kurz. Przykrywam dłońmi
oczy od promieni słońca...
Jazda w złotą dal bez końca
hen, aż za widnokrąg siny!

Wóz drabiasty, czwórka dziarska,
na siedzenie — grochowiny,
koń za koniem raźno parska...
Błyskawicą mkną godziny.
Warczy turkot kół donośnie
po gościńca gładkiej drodze,
ranek wdzięczy się radośnie...
Rozigraniu puszczam wodze...
Ach, jak dobrze, jak wesoło!
jaki piękny świat ten wkoło,
aż mi serce w piersi rośnie!..

Biegnie droga długim sznurem,
falistymi zakrętami,
i zielonym obok murem
biegną brzozy za brzozami.
Ich warkoczy długie kiście
w rozbawianym szumią wietrze,
słońce żarzy się świetliście,
kurzem złoci się powietrze...
Mijam widok za widokiem,
płyną lasy, dwory, wioski,

po gościńcu, po szerokim,
rozścielonym żółtą smugą
niefrasowny, próżny troski,
jadę dalej — długo, długo...

Ach, ta droga! ach, ta jazda!
ach, włóczęga ta cygańska!
Co za radość! Jak ptak z gniazda,
jak jaskółka ta bezpańska
lecieć w przestwór dookolny,
bez kierunku, bez wędzideł,
rozwichrzeniem lotnych skrzydeł
uniesiony, szczęsny, wolny!
Rozstać się z wszelaką troską,
nic, prócz chwili, nie pamiętać,
lecieć w jasną dal bez końca,
zachwycenia szał rozpętać,
lekkomyślnie żyć i bosko
szumem brzóz i blaskiem słońca!..

Jaka rozkosz! Bez pamięci,
w zawierusze zmiennych chęci
z wiatrem ścigać się swawolnym,
za bławatkiem gonić polnym,
co błękitem z żyta nęci.
Zbyć się wszelkich myśli oków,
ujść głęboko wnętrznie w siebie,
i w pół-śnie, w pół-zapatrzeniu
śledzić zmienną grę obłoków

w srebrnosinem obramieniu
na dalekiem, modrem niebie . .

Całą duszą w nie utonąć,
w te wysokie białe chmury,
co się zdają skrzyć i płonąć
jak spiętrzone śnieżne góry,
jak lodowe Alp zwaliska;
skąd w niebieskie idzie pola
trójramienna aureola
i wachlarzem grotów tryska,
i rozpina swoje blaski
nad chmur granią sinopłową,
jak prawica bożej łaski
nad proroków głową . . .

I tak płynąć razem z niemi
z obłokami śnieżystemi,
co się różowością płonią,
takie krągłe, takie śliczne,
że spojrzeniem, jakby dłonią
czuję skręty ich plastyczne,
że się ich dotykam prawie
i z radością cały kwitnę,
i zachwytem błogosławię
to ich piękno szczytne . . .

Albo w wielką dal czerwoną
ku zachodniej dążyć stronie,
gdy wieczorne zorze płoną,

kiedy całe niebo płonie,
w rozognionych chmur koronie
ponad słońcem, które spływa
krwi gasnącą plamą . . .
Kiedy wszystkich barw łańcuchy
wiążą świetne swe ogniwa
nad ogromną zorzy bramą,
a w tej bramie złotej — duchy
wśród wieczornych modłów klęczą,
i anielskie barwią skrzydła
w różnowzore malowidła
i tęczowych piór obręczą,
ponad krwawą chmur głębiną
jasne, ciche, płyną . . .

Kiedy oczy zapatrzone,
urzeczeniem wiodą same
w zachodniego nieba stronę,
w tę olbrzymią ognia bramę,
co nad światem rozpościera
tryumfalne swe koliska
i aniołom drzwi otwiera
i źrenicą Boga błyska . . .

Kiedy człowiek, jak czerw lichy,
jak zbłąkane piasku ziarno,
ukorzony, próżny pychy,
klęka myślą na pustyni
ziemskich pól i, plamą czarną
ledwie widny, modły czyni,

a niezmierną niebios łuną
kolorowe cuda suną...

I jak słomy wiązkę marną
te pożary go ogarną,
i oświecą, i owioną
rozżagwioną mgłą czerwoną...
Tęczowymi chmur sufity
stanie cały świat nakryty,
jako jedna wielka grota,
pełna dymów, krwi i złota,
pełna drżących świateł, cieni,
i kolorów, i płomieni,
a tam — w mroku — w ziemi łonie
ludzkie serce płonie...

. . . .

Jadę, patrzę wkoło wzrokiem
rozjaśnionym, a wraz ze mną
płynie widok za widokiem,
płyną brzozy za brzozami...
O, jak cudnie biel ich plami
lasu głębię ciemną!....
Upał rośnie — bąki brzęczą,
obsiadając chmarą konie,
las od słońca żaru płonie
pozłocistych świateł tęczą.
Muchy tłumnym korowodem
z komarami idą w tany,

ponad końmi snują, lecą
i w powietrzu złotem świecą.
Od polany niesie miodem
w białych grykach roje pszczelne
grają hucznie, by organy...
Las żywiczną pachnie wonią,
świętowanie czuć niedzielne,
jakby w bożym gdzieś kościele,
gdy kadzidło dymy ściele
i srebrzyste dzwonki dzwonią.

Świat — kościołem, las — ołtarzem,
pszczoły — chórem, muchy — wtórem,
słońce — złotym trybularzem...

Co za skwar! Pod pianą konie,
czas pomyśleć o wytchnieniu.
Od gościńca nieco w stronie
na polance, w jodeł cieniu
zatrzymuję się na popas.
Czwórka z wozu wyprzęgnięta
w lesie błąka się samopas,
i soczystą skubie trawę.
Pobłyskując w białym żarze
lecą bąki za nią żwawe,
a ogony, jak wachlarze
odpędzają precz natręta.

Próżnowaniem błogiem dyszy
las, radośną pełnią święta.

Miło spocząć w lubej ciszy...
Człek się w miękkim mchu sadowi
i rozkosznie na wznak kładnie,
uchem leśne granie łowi,
wzrokiem w błękit się zapadnie,
zasłucha się, zapamięta...

Na gościńcu kurz obłokiem,
kupą jadą wozy, bryki,
potoczystym raźnym, krokiem
małe, krępe rwą koniki;
dźwięczą głosy, dudnią koła,
przodem bat siarczyście strzela,
śpieszą ludzie do kościoła,
boć to przecie dziś niedziela.

Przelecieli, przeminęli,
i znów w lesie cisza złota,
jasne much polatywanie
i po grykach, na polanie
rozskrzydlonej brzęk kapeli.
Jeszcze w oczach przypomnieniem
kraśnych chustek kwiat migota,
i pod czarnych rzęs półcieniem
błyski źrenic... Jeszcze echem
dzwonią bryki, pełne śmiechem
i świątecznem rozbawieniem...

. . . .

Jedźcie z Bogiem, dobrzy ludzie,
jedźcie zdrowi! Dziś niedziela,

swięto słońca, dzień wesela.
W codziennego chleba trudzie,
w jego nędzy i goryczy
dzień dzisiejszy się nie liczy.
Dziś umilkły wasze troski,
dziś odświętne wasze wioski,
osypane kwieciem grusze . . .
Dziś kraśnieją barwne wstęgi,
świecą kurty i siermięgi,
dziś się śmieją serca, dusze!
Szlak zgryzoty niech odłogiem
dzisiaj leży — jedźcie z Bogiem . . .

Śpieszcie, bracia, do kościoła.
Tam już dzwon na sumę woła,
już na rynku huczno, gwarno,
tłumy wiernych już się garną
ku zakrystji i główmorzem
płyną zwartem w drzwi kościelne.
Brzmi ambona słowem bożem,
a przez szyby kolorowe
lecą słońca strzały płowe,
dymy złocą się kadzielne.

Kapłan na kolana pada,
chłopców dwoje do asysty
w białych komżach rozsypuje
srebrnych dzwonków grad perlisty
i mszy słowa odpowiada,

a za nimi. organisty
drżą akordy ton po tonie.

Aureolą dym się snuje,
ołtarz słońcem się rozżarza,
tęczą świec pożoga płonie,
Ksiądz się zwraca od ołtarza
(lud w skupieniu cichem słucha),
błogosławi, wznosi dłonie,
intonuje . . . Lud powtarza
za nim chórem. Pieśń wybucha
Święty Boże ! . . Grzmią organy,
płynie śpiew nabrzmiały łzami,
Panie, zmiłuj się nad nami ! . .

Rozmodlony, rozełkany,
błagających łez niesyty
hymn się wznosi — i falami
jako jedno wielkie morze
o świątyni bije szczyty.
Szumi wichrem, huczy gromem,
szalejącym huraganem
rwie się w niebo, na przestworze,
i człowieczych nędz ogromem
skarży, żali się przed Panem . . .
Święty Boże ! . .

Jako wichrem pochylone
dojrzałego łanu kłosy
gną się głowy w jedną stronę ;

oczy, cieniem rzęs nakryte
lśnią kroplami łzawej rosy,
uniesieniem górnem świecą
twarze, zmarszczek rdzą poryte,
z ust w otwarte niebo lecą
tony pieśni . . .
Umęczeni i boleśni,
śpiewający w prochu klęczą,
Bóg ich nakrył blasków tęczą.
Kościół cały światłem gorze,
poprzez okna słońce leje
promieniste rzeki złota . . .
Pieśń szaleje. olbrzymieje
i uderza w niebios wrota . . .
Święty Boże ! . .

. . . .

Śpieszcie, bracia, do kościoła,
jedźcie, ludzie dobrzy, z Bogiem,
i przed świętym zmówcie progiem
pacierz i za moją duszę . . .
Mnie los w inną stronę woła,
w inną drogę jechać muszę . . .

Ale zanim, jak jesienny
liść, mię wicher w dal poniesie,
tyś mi bożą jest świątynią,
z tobą płyną moje modły,
ty, słoneczny i promienny
o mój cichy lesie ! . .

Niebu hołd i chwałę czynią
kolumnowe twoje jodły,
twych uroczysk głosy wieszcze
wśród cienistej drżą zadumy,
modlitwami — brzóz twych dreszcze,
organami — sosen szumy,
z tobą wołam ja w pokorze,
Święty Boże; . . .

. . . .

O święty mocny, święty nieśmiertelny,
w dalekich niebios ukryty lazurze,
a taki blizki, taki nierozdzielny
z tą ziemią, w słońca skąpaną purpurze,
z tym lasem, dzwonnym od muzyki pszczelnej,
z melodją wiatru, w cichym liści wtórze,
że z każdym trawy najlichszym szelestem
przemawiasz głosem wielkim: oto jestem!

Bądź pozdrowiony na ołtarzu świata,
w tym bezgranicznym błękitów kościele,
gdzie rozmodlona dusza ma ulata
i wielbi ciebie w rąk twych arcydziele,
gdzie z aniołami twoimi się brata,
w progi niebieskie wstępując nieśmiele,
a za osłonę ma i za obrońcę
złocistą tarczę — twoje jasne słońce.

I ty, co ognia królewską koronę
rozpalasz codzień nad Boga źrenicą,

Niewidzialnego kryjąc groźne lico,
słońce promienne, bądź mi pochwalone!
Do ciebie drżące miłośną tęsknicą
wyciągam ręce, twoim żarem płonę,
i czoło chylę przed twym majestatem,
jakgdybyś Bogiem mi było — nie bratem.

Pod twojem okiem żyję beztroskliwy,
jak dziecię szczęsne wśród kwiecistej łąki,
a gdy zaszumią traw zielone grzywy,
i kwiatów błysną kolorowe pąki,
kiedy nad morzem falującej niwy
szczebiotem jasnym zadzwonią skowronki,
a ty pochodnię płomienną rozniecisz,
— wołam: o dzięki ci, słońce, że świecisz!

Że w zórz porannych wstając aureoli
ty do dźwigania życia dajesz siły,
że rozpromieniasz ciemnice niedoli,
i krew gorącą w skrzepłe wlewasz żyły,
że gdy zabłyśniesz, żaden ból nie boli,
i żadne sercu nie straszne mogiły,
żeś takie piękne, i takie płonące,
— za wszystko dzięk i chwała tobie, słońce!..

X

Pożegnanie

W drogę! w świat!.. Od rodzimego
pnia ostatni liść odrywa
wicher życia... Lata biegą
obumarłych pól pustkowiem,
gdzie młodości zżęta niwa
woła: żegnaj!.. Cóż odpowiem?
Do widzenia?.. W snów krainie
chyba? Dziś — na innem niebie
gwiazd mych szukam w chmur powodzi,
innym dzisiaj szlakiem płynie
moja łódka, a w tej łodzi
płynę sam już... w świat... przed siebie...

Dokąd?.. Długo o tem gadać...
Chimeryczne moje cele
ja przemilczeć się ośmielę,
choćbym nawet w tej wyprawie
lekkomyślnie miał postradać
na tak zwanej „dobrej sławie",
i miał zgorszyć mych serdecznych
bliźnich, — tych cenzorów wiecznych,
unoszących wyżej głowy
moralności liść figowy.

Ja moralność bardzo cenię
i katechizm mych łaskawców,

parafjalnych rzeczoznawców.
Ja wyznaję uniżenie
jego credo: że przystojniej
jest osiadłym być szlachcicem,
niż z rozsądkiem w ciągłej wojnie
wychudzonem wzdychać licem
za gwiazdami i księżycem;
że zbawienną jest — krew rybia,
co zasadom nie uchybia,
co gościńce cnotom mości
i przez sieć wszelakich „ości“
wiedzie w bramy szczęśliwości.

I tak dalej... aż do mdłości.
Ale skończmy z tym tematem.
Ja głęboko czuję nad tem,
że tak mało czci powinnej
mam dla rybiej moralności,
że tak rzadko we mnie gości
chęć, bym jej ścieżkami chodził.
Szkoda — ale cóżem winny,
żem się rybą nie urodził?

. . . .

Ach, te ryby w stęchłej wodzie,
w tem rodzimem, swojskiem bagnie!
Ach, te ryby! Któż nie pragnie
żyć w przykładnej z niemi zgodzie?
Kto kamieniem czczej obrazy
na te godne rzuci płazy?

Dla ścisłości jednak powiem,
że domowe moje wody
innych zimnokrwistych mrowiem
obfitują również: węże
tam z pjawkami mkną w zawody,
wszelki gad się w błocie lęże,
duży, mały, silny, słaby...
Liczne są tam bardzo raki,
całe życie zawsze tyłem
chadzające, tudzież żaby,
które skacząc w błocie zgniłem
na świat cały o tem wieszczą,
że nie wiedzą, czego wrzeszczą.

Lecz najbardziej jednak liczne
bezwątpienia są ślimaki,
takie miękkie, takie ciche,
takie anemiczne!
I potulne, i spokojne,
i różkami niby zbrojne,
lecz nie wbite niemi w pychę,
owszem — bardzo, bardzo grzeczne,
w swoim domku, w swej skorupce,
w swej wędrówce niemowlęcej
po rodzimej błota kupce
i wygodne, i bezpieczne...
O! ślimaków jest najwięcej!..

Ludek zresztą ów ślimaczy
nie w parafji, lub w powiecie

wiedzie ród, lecz powolutku
rozlazł się po całym świecie
i niemalo wszędzie znaczy.
Pełno go jak w Nowogródku,
tak i w Słucku, albo w Mińsku,
albo w każdym innym Pińsku,
pełno go na całej Litwie,
w całej Polsce, w świecie całym . . .
Ślimak — życia ideałem!

Ale niech mię bogi strzegą,
bym w daremnych słów gonitwie
chciał złośliwie i zuchwale
mówić coś, lub myśleć złego
o ślimakach . . . Wyznam szczerze:
nieprzyjemne to jest zwierzę,
nie chcę o niem myśleć wcale . . .

. . . .

Wszędy nędzne, szare życie
poprzez lepkie pełza błoto,
wszędy krwią cuchnące złoto
kryje żywych trupów gnicie;
wszędy zgliszcza i ruiny,
płacz niedoli, brzęk łańcucha,
wrzask głupoty, pustka ducha,
zaduch podłej ludzkiej gliny . . .

Wszystko smutne . . . wszystko marne
więc przed nędzy tej widokiem

kryjąc oczy, niech ogarnę
raz ostatni tęsknym wzrokiem
mych pamiątek zbłękitniony
czar, niech jeszcze raz popatrzę
na te mary, coraz bladsze
wspomnień . . .
Żegnaj, mój rodzony
kraju grobów, gdzie wrośnięta
w darń mogilną przeszłość leży
na zamarłych lat rubieży,
taka czysta, taka święta,
taka niegdyś wielka, dumna,
dzisiaj — jedna trumna.
Krążą nad nią czarne kruki,
chciwe nad nią kraczą wrony
i drapieżne ostrząc szpony
mogił próchno rwą na sztuki;
a dokoła w chmurnej dali
beznadziejnie snują ludzie,
pogrobowcy osmętniali,
w niewolniczym chleba trudzie
obojętni, zimni, mali . . .

. . . .

I wy także mi żegnajcie,
wszyscy, coście mogli braćmi
być, a byli mi obcemi
przez pół życia na tej ziemi,
coście nic za serce dać mi
prócz milczenia nie umieli . . .

Sercem żegnam was... Bywajcie!
Dziś, samotną idąc drogą
nie obwiniam z was nikogo,
choć nazawsze nas już dzieli
myśl zbolała i ostrożna,
że — was — kochać tylko można
bezwzajemnie i — zdaleka.

Serce dziś już nic nie czeka
od was — nie chce nic dla siebie.
Lecz — dla ziemi? Dla ojczyzny,
którą przemoc w trumnę grzebie,
której niezgojone blizny
płyną krwią — a ona woła
głosem wielkim archanioła!..

O wy, bracia moi! Słowem
ciężkiem jak głaz, słowem żrącem
jak trucizna jabym miotał
w waszą martwą pierś, grobowem,
tchnącą zimnem! Krawem słońcem
jabym ślepił i druzgotał
waszych śpiących ócz powieki!
Sępich szponów obcęgami
jak torturowemi ćwieki
wasze trupie darłbym łona,
by na mej rozpaczy zew,
kipiącemi strumieniami
z nich buchnęła krew czerwona,
żywa, wstydu jasna krew...

Bracia! Wołać do was muszę,
bom ja z was jest, z waszej doli
cierpię własnych nędz katusze,
bo mię wasze dzisiaj boli,
bo mię jutro wasze trwoży,
bom już zwątpił, czy duch boży,
naszych ojców duch w was żyje;
bo mię trwogi czarne żmije
opasują strasznym wieńcem,
i już niewiem, kto przyszłości
chmurnej plonów będzie żeńcem
na tej ziemi, kto pochwyci
sztandar światła i wolności,
starodawne nasze wici
jasne — i kto odziedziczy
naszych przodków drogocenne
skarby . . .

Ach, bo wśród obliczy
tępych, niemych ust, serc z drewna,
poprzez noce me bezsenne
ciągle jeden słyszę głos . . .
niesie go wichura gniewna
ten szyderczy głos . . .
Od krakowskiej niesie chaty,
od weselnych niesie tanów,
od muzyki fal skrzydlatej,
zgłuszającej brzęk kajdanów . . .
To przemawia los . . .

Idzie, woła, szczęka, dzwoni,
przerażeniem jeży włos,
głuchem tętnem bije w skroni
przeznaczenia głos:

„ Miałeś, panie, biały dwór,
„ miałeś dębów nad nim strop,
„ miałeś zbożem złote brogi,
„ miecz, pohańskich pełen szczerb
„ i szlachecki herb.
„ Dęby ci wyrąbał chłop,
„ zbożne łany zabrał żyd,
„ miecz i herb ci wzięły wrogi,
„ ostał ci się jeno wstyd
„ i dziadowski wór “.

. . . .

Ale przebóg! Czyż umiera
dąb, gdy zrzuci swą koronę
martwych liści? Czyż brzezina
gdy warkocze obnażone
na los wichrów rozpościera,
życiem swojem czyliż płaci
złotolitej krasy stratę?
Czyliż wiosną nie poczyna
stroić białej swej postaci
w nowe wdzięki przebogate,
czyż radośnie nie wybucha
znów rozkwitem zmartwychwstałym?

Czyż umiera razem z ciałem
to, co ma początek z ducha?
Czyliż może nie być wieczne?

Nie, przenigdy! Czerwonemi
krwi strugami piersi ojców
przez męczeńskich las ogrojców
zlały każdą piędź tej ziemi;
naszych matek łzy serdeczne
obmyły ją świętym deszczem
ukochania i żałości;
rozsypiskiem bratnich kości
wśród cmentarnych pól tysiąca
świeci ona z krańca w kraniec
kurhanami smętna, dreszczem
pohańbionych mogił drżąca...
W niej obronny wzniosły szaniec
pokolenia dla wszystkiego
co jest światłem, co jest wiarą,
co jest bólem i ofiarą,
co w spodlonej milczy duszy
martwo, nim jej nie poruszy
dziejów wicher i nim strzegą
jej ocknienia moce ciemne,
lecz istnieje, niezabite
niczem, popiołami skryte,
ciche, czujne, potajemne,
jak iskra Boga żywa
jest — i POLSKĄ się nazywa...
. . . .

W ciebie, Polsko, wierzyć muszę
by módz żyć, i w słońce patrzeć,
i oddychać... Wierzę w ciebie,
ty ojczysta moja ziemio,
wierzę w twoją polską duszę,
której nigdy nie wyplemią
żadne męki, ni katusze,
której nic nie zdoła zatrzeć
tak, jak słońca blasku w niebie.
Wierzę w ciebie...

Jak najrańszy zwiastun wiosny,
co z pod śniegu śle, radośny,
lazurową swą nadzieję,
choć dokoła mróz bieleje;
jak dziecina zasłuchana
w ciche z matki ust pacierze,
w szept błagalny o pomocy,
— tak ja w ciebie, ziemio, wierzę.

Jak wędrowiec, co wśród nocy
czeka, ufny w jasność rana,
jak męczennik uśmiechniony
do cierniowej swej korony,
do swych katów, gdy twarz Chrysta
nad nim schyla się, świetlista,
— tak ja w ciebie, Polsko, wierzę.

Wierzę, chociaż kraj dokoła
w wieńcu dymów i płomieni

krwi zalewem się czerwieni,
chociaż cały we łzach tonie
i rozpaczy prężąc dłonie,
o ratunek próżno woła.

Wierzę, chociaż przestrach blady
nad tą ziemią dzierży warty
wiodąc wszystko do zagłady;
chociaż w duszach — kir żałoby,
chociaż w sercach — same groby
i ojczyzna — grób otwarty.

Wierzę, chociaż wszystko ginie,
choć się ziemia cała zmienia
w popieliska i pustynie;
choć się boże gniewy srożą
i polskiego znak imienia
wymazując z dziejów karty,
po ojczyźnie mej rozdartej
płomieniste bruzdy orzą...

I z tą wiarą w prawdę bożą
ja się chylę na kolana,
i upadam na pierś ziemi,
na tę pierś, co poszarpana,
jako jedna krwawa rana,
dysze ciężko w poniewierce
wrogich mocy, i długiemi
godzinami głosu ziemi
słucham chciwie, a miłośnie,

słyszę, jak jej tętno rośnie,
słyszę, jak jej bije serce . . .

Mówić do niej korną mową
chciałbym wiele, lecz — daremnie,
nie wypowie tego słowo,
co jest we mnie,
co tę ziemię moją biedną
czyni czemś tak strasznie blizkiem,
że śmiertelnym nas uściskiem
łączy w jedno.
Ale żyję jej oddechem
w każdej uczuć mych iskierce,
czuję, jak jej wtórzy echem
moje serce . . .

Wilno,

24 maja 1917 — 24 maja 1918.